



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICJI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Treść Numeru: Iskra (komedia). — Nocna pieśń. — Eugenia Laval. — Pogadanka. — Przegląd literacki. — Korespondencya z Paryża. W dodatku: Villa Hortensia przez Antonio Caccianiga przekład z włoskiego przez J. B.

ISKRA.

Komedia w jednym Akcie

PRZEZ

Edwarda Pailleron.

Przedstawiona na benefisie p. Modrzejewskiej

dnia 15 Lutego 1880 r.

przekład J. B.

(Dokończenie).

Scena dziewiąta.

Pani de Rénat, później Raul.

P. de Rénat. Pójdiesz za niego! pójdiesz za niego! pójdiesz za niego! Postrzelona i szalenie! doskonale się dobiórą!... tak... tak... ani słowa... dobra na będzie para!... A! jesteś!

Raul. No i cóż?

P. de Rénat. A odmówiła.

Raul. Powiedziałem... ani śladu iskry!

P. de Rénat (z postanowieniem). Jakiż to jest ten twój nieomylny sposób?

Raul. Ach! więc nareszcie wujeneczka zdecydowała się na niego?

P. de Rénat. Najzupełniej.

Raul. Doskonale!

P. de Rénat. A bo nareszcie drażni to i moją miłość własną. No, jakiż to sposób?

Raul. Powiedziałas Antosi że ją kocham?

P. de Rénat. Powiedziałam.

Raul. Że chcę ją poślubić.

P. de Rénat. Tak.

Raul. Czy przed chwilą widziała mnie wracającego?

P. de Rénat. Tak, ale ten sposób?

Raul. Podaj mi rękę. (bierze ją pod rękę).

P. de Rénat. Gdzieś maie chcesz prowadzić? Już się ściemniło.

Raul. Tem lepiej to najstosowniejsza pora.

P. de Rénat. Ależ ten sposób?

Raul. Zaczynamy wprowadzać go w wykonanie.

P. de Rénat. Jakto?

Raul (znizając głos). Cicho! patrz.

P. de Rénat (j.w.). Gdzie? co?...

Raul (cicho). Tam, na prawo, u stóp drzewa... Tylko patrz nieznacznie... Czy widzisz to białe?... To jej suknia... to ona! Byłem pewny że zechce słyszeć naszą rozmowę.

P. de Rénat. Dobrze, ale cóż dalej?

Raul. Oto usiądziemy na tej ławeczce stojącej blisko niej, i to tylko będziem mówić co trzeba żeby Antosia słyszała.

P. de Rénat. Ale cóż takiego?

Raul. Och! mała rzecz! Ty, wujenko, będziesz mi robić wyrzuty że się z nią żenię, a ja będę się tłumaczyć dla czego zapomniałem o tobie. Porozmawiamy tak z pięć minut i koniec... Już ja będę mówił a ty mi tylko odpowiadaj. No, siadaj na ławeczce.

P. de Rénat. Nie wiem czy to ja jestem tak ograniczona, ale nic nie rozumiem.

Raul. Mego sposobu? Ależ on bardzo prosty; przyzywam na pomoc zazdrość, zazdrość klasyczną i nieomylną. Wzbudźmy w niej zazdrość a iskra wytryśnie!... Niech tylko uwierzy w to żeś mnie kochała, a pokocha mnie niezawodnie... Dziś zaraz przekonasz się o nieomylności mego środka... Chodźmy tylko usiąść na ławeczce.

P. de Rénat. Dajże mi pokój, strasznie niemądry ten twój sposób.

Raul. Nie twierdzą żeby był genialny, ale co to szkodzi spróbować? Wszak proszę cię o to tylko, wujeneczko, żebyś usiadła na ławeczce i odpowiadała

mi, cóż to wielkiego?... Nie odmawiaj mi tak małej przysługi; chodź usiąść na ławeczce... Nie chcesz?... no, nie wiem co w tem mieć możesz... ale widzę wyraźnie że nie chcesz tego żeby się z nią ożenił.

P. de Rénat (podając mu rękę). Co! ja nie chcę?

Raul. A tak.

P. de Rénat. Chodźmy usiąść na ławce (pociąga go ku ławce).

Raul. Chciej tylko rozumić, wujenko, jaki to urok...

P. de Rénat. Siadajmy na ławeczce!

Raul (cicho). Mów ciszej!

P. de Rénat (cicho). Siadajmy na ławeczce! (idą ku ławce).

Raul (cicho). A teraz siadaj... (siadają) bliżej mnie wujeneczko... jeszcze bliżej!

P. de Rénat (cicho). Niedorzeczny pomysł, wyglądamy tak jak gdybyśmy grali teatr amatorski... No, zresztą mniejsza o to!... Czy Antosia tam siedzi.

Raul. Tak... ale jeśli nie nie będziemy mówić.

P. de Rénat. A więc mów...

Raul (cicho). Więc mogę zacząć?

P. de Rénat (j. w.). I owszem, czekam.

Raul (głośno). Droga Alio!

P. de Rénat (zrywając się). Co?... (siada i mówi cicho) Al! prawda! no, spodziewam się że teraz już przynajmniej nie możesz pan posądzić mnie o złą wolę.

Raul (głośno). Droga Alino, kochaliśmy się przeszło trzy lata...

P. de Rénat (cicho). Przeszło trzy lata! czyś oszalał?... a jenerał?...

Raul (cicho). Co to szkodzi, skoro to tylko...

P. de Rénat (cicho). Jakto co to szkodzi... trzy lata... przecież nie byłam jeszcze wdową!

Raul (cicho). No, niechże będzie dwa lata!... Ale jeśli ciągle tak będziesz przerywać!... Nie zapominał przecież że to tylko udanie. (głośno) Jeśli nareszcie postanowiłem zerwać stosunek łączący nas już przeszło od dwóch lat, i ożenić się z inną, to przy-

znają że co najmniej powinienem wytłomaczyć się przed tobą z mego postępowania.

P. de Rénat (cicho). Śmieszny pomysł.

Raul (cicho). Nieomylny, (głośno) A to wytłomaczenie będzie szczere, uczciwe i bardzo krótkie, bo da się zamknąć w kilku słowach: Nie kochasz mnie już, Alino! (milenie, Raul cicho) No odpowiedź mi co!

P. de Rénat (cicho). Cóż, na przykład?

Raul (cicho). Cóż!... oto: kochany Raulu, kocham cię zawsze... kocham więcej jak kiedykolwiek... kocham nad wszystko w świecie!... No, dalejże wujenku.

P. de Rénat (głośno). Mój kochany Raulu...

Raul (cicho). Ależ, nie tak... gdzież tu namiętność!... trzeba powiedzieć „kochany Raulu“! nie dając „mój“.

P. de Rénat (cicho). Kiedy bo nie mam zwyczaj...

Raul (cicho). Zwyczaj! zwyczaj!... Ehl moja wujenku, to też tylko chwilę tak mówić będziesz... O! patrz! Antosia się przysunęła... słucha co mówimy... Popsujesz wszystko... nie zapominaj roli... No! powiedz: drogi Raulu...

P. de Rénat (głośno). Drogi Raulu, nie ja to przestałam kochać...

Raul (głośno). O nieba czyż to być może?... (biorąc jej rękę).

P. de Rénat (cicho). Ach! to zbyt... (usuwa rękę).

Raul (j. w.). Ponieważ ona słucha...

P. de Rénat (j. w.). Słucha ale nas nie widzi.

Raul (głośno). Nie śmiem wierzyć memu szczęściu... więc kochasz mnie jeszcze?

P. de Rénat (głośno). A jakże!

Raul (cicho). Masz tobie! któż znów kochankowi odpowiada: a jakże! Ach! wujenku, nie zapominaj swej roli, powiedz coś czułego.

P. de Rénat (głośno). Ach! Raulu!... (cicho) Ach! nudzisz mnie nareszcie i ty i twoje małżeństwo.

Raul (głośno). Alino ubóstwiona gdy takim głosem mówisz do mnie, w sereu moim budzi się ufność i nadzieja że jeszcze będziemy szczęśliwi!... O! gdybyś wiedział!... (bierze jej rękę).

P. de Renat (cicho). Dajże pokój moim rękóm!

Raul (cicho). Trzeba przecie...

P. de Rénat (j. w.). Nie, wcale nie trzeba.

Raul (cicho). Ach! skoro nie chcesz...

P. de Rénat (j. w.). I owszem, tylko nie...

Raul (cicho z wybuchem rozpacz). Więc, przez litosć, wujenku, przejmij się duchem swej roli!... Al! biada z taką uosobioną rozwałą!... Jakto, jesteście sami, wieczór przeliczny, siedziemy przy sobie... Ach! wyobraź sobie przecie że to jest rzeczywistość!... Cóż za zimna kobieta!... Al! i tobie także brak iskry!...

P. de Rénat (cicho). Za to ty musiałeś je posiadać za dziesięciu.

Raul (cicho z przekonaniem). Ależ nie zapominaj że jesteś zazdrośną, obrażoną, rozdrażnioną, że się mam żenić a ty mnie kochasz, a może i ja jeszcze kocham ciebie!

P. de Renat (głośno z ożywieniem). Ach! więc dla czegoż chcesz się żenić z inną!

Raul (cicho). O! teraz doskonale! (głośno) Dla czego chcę się żenić, bo twoja obojętność, twoja oziębłość, straszny cios zadały mojej miłości... (cicho) Wierzaj mi w tych słowach więcej jest prawdy niż myślisz. (głośno) Nie lekceważy się takiej miłości jak moja.

P. de Rénat (głośno). Takiej miłości jak twoja!... Ach! ta twoja miłość tylko litość i pogardę budzić może!... (cicho) W tych słowach także więcej jest

prawdy niż myślisz! (głośno) Tak, tylko litość i pogardę!

Raul (cicho). Teraz doskonale!... rozdrażnienie, szyderstwo...

P. de Rénat (szczerze). Powiedz, mój biedny Raulu, czy ty rzeczywiście myślisz że kochałeś kiedy?... Tylko ani słowa o mnie, bardzo proszę!

Raul (cicho). Coraz lepiej; teraz unosisz się gniewem, wybornie! mów dalej w ten sposób!

P. de Rénat (unosząc się coraz więcej). Twoja miłość! i kogoż to kochałeś? jaką mużę garnizonową lub wędrowną Wenus... Może ową miss Stove?...

Raul (cicho przestraszony). Tego nie mów! nie trzeba było nawet napomynąć.

P. de Rénat. Ową awanturkę o którą kobieta uczciwa nawet zazdrośną być nie może.

Raul (j. w.). Ależ prosiłem już nie wspominać nawet o tem.

P. de Rénat. I kogóż jeszcze? może Tolkę, to biedne, bezmyślne dziecko!...

Raul (cicho). Ach! ostrożnie!

P. de Rénat. Te dobrą dziewczynę, przedmiot ostatniej twojej fantazy czy zachciwki!... może naganiejszej jeszcze...

Raul (cicho). Ale zastanów się, wujenku.

P. de Renat. Tak, naganiejszej może niż inne.

Raul (także unosząc się). Wujenku!

P. de Renat. O nie! ty nigdy nie kochałeś!... powiedz że to ciekawość, kaprys, chęć rozrywki, zachciwki wyobraźni które uważasz za porywy serca, ale nie mów o miłości, bo o tej, biedny chłopcze, nie masz najmniejszego pojęcia.

Raul. Dla tego że...

P. de Renat (przerywając). Dla tego że nie znasz wzruszeń z jakich miłość się rodzi, nie umiesz się zastanawiać, co jest niezbędnem aby mogła się rozwinąć, brak ci wytrwałości i siły wywołującej wzajemność, brak pewnej powagi która miłość utwierdza i uszlachetnia.

Raul (unosząc się). Al! znowu zarzucasz mi brak powagi, byłem pewny że mnie to nie minie... Niel! to już nadto!... to można oszaleć!... I mówisz to z przekonania!

P. de Renat. Z najmocniejszego przekonania.

Raul. I skądże! możesz o tem wiedzieć?

P. de Renat. Alboż cię nie znam!

Raul. I sąd swój opierasz na tem, że zawsze okazywałem się wesołym? No, to bardzo mi przykro, ale muszę powiedzieć że to nie ja ale ty nie masz pojęcia o miłości!... Dowiedź się, wujenku, że ta ciągła, zawsze jednaka wesołość niczego nie dowodzi!... Wieleby o tem można powiedzieć!... można śmiać się niby a płakać w sereu.

P. de Rénat. I to ty tak mówisz, ty Raulu, czyżbyś wiedział co to jest cierpienie?

Raul. Tak, ja to mówię i wiele przecierpiałem, choć niezem nie okazywałem tego i nie poważalem na płaczącą wierzbę... a jeżeli chcesz wiedzieć, cierpiałem przez ciebie...

P. de Renat. Przeze mnie?

Raul. Tak.

P. de Renat. Ty?

Raul. Ja!

P. de Rénat (cicho). To tak wypada z roli?

Raul (cicho). Wcale nie, wcale nie! i rad jestem że nareszcie choć nawiasem mogę ci to powiedzieć!... (głośno) O! wiele wycierpiałem!

P. de Rénat. No! niktby się tego nie domyślił!

Raul. Bo tego właśnie chciałem!... bo tak mi nakazywała duma i poczucie własnej godności!... Cóż miałem robić? Uskarżać się i przeklinać twoją nieczułość i obojętność, płakać i wygłaszać jeremiady? Otóż to kobiety!... Więc dla tego żeś mi odmówił miałem wstąpić do trapiistów?... nie zgadza się to

z mojem usposobieniem... więc chciałem cię zapomnieć, zerwać bolesne więzy...

P. de Rénat. I jakoś często próbowałeś tego...

Raul. O! bardzo często!... ale to nie moja wina!... dla czegoż odpychałaś mnie!

P. de Renat. Śliczny powód!

Raul. Ach! odmowa twoja...

P. de Renat. Zabiła odrazu twoją miłość.

Raul. Zraniła boleśnie poczucie własnej godności.

P. de Renat. Nie rozumiem.

Raul. Za nadto bogata jesteś, wujenku...

P. de Renat. Al! więc to dla tego...

Raul (z coraz większym uniesieniem). Czyż przez własną delikatność nie powinnaś była tego odgadnąć, i mierzyć siłę uczucia mego siłą cierpienia na jakie skazywałem się milcząc!... Ale co tam! za wesoły jesteś, mój chłopcze, gdzieżbyś mógł kochać gorąco, namiętnie, stale, poważnie!... A jednak mogłem nie pokochać ciebie?... czyż nie jesteś pierwszą prawdziwą kobietą jaką spotkałem i ujrzałem! a miałem wtedy lat dziewiętnaście!... pomyśl sama jakie to głębokie wrażenie musiała wywrzeć na mnie taka jak ty kobieta!... To też pokochałem cię całą duszą, tylko nie umiałem tego wypowiedzieć!... Trzeba mi było mówić o gwiazdach, o niebiosach, o ptaszkach kwilących wśród drzew gałęzi i pisać do ciebie wiersze... Wiersze, poezja dla ciebie, to jakby wodę dolewać do rzeki!... Wiersze, to dobre dla innych, choć jeźli je kiedy pisałem dla kogo, zdaje się można było poznać że ciebie miałem na myśli!... Zamiast tego wszystkiego, ja tylko z głębi duszy powiedziałem ci: kocham ciebie!... i nie chciałaś słuchać, nie chciałaś zrozumieć bezgranicznej miłości mojej!... tem gorzej dla mnie!... i dla ciebie!... Tak, i dla ciebie, bo podobne kobiety najczęściej w końcu wpadają w sidła adwokatów miłości, poetów deklamujących z przewróconymi oczami i salownych adonisów.

P. de Renat (unosząc się). Powiedźże mi proszę, po czemże mamy poznać że nas ktoś prawdziwie kocha?... czy po tem że nie jest ani adwokatem, ani poetą, ani adonisem?...

Raul. Al! teraz szyderstwo!...

P. de Renat. Lub też po tem że jest zdrow i wesoły, że nam się zwierza ze swoich miłości i żeni się z inną?

Raul. Wszystko to niczego nie dowodzi.

P. de Renat. Więc po czemże możemy poznać? po czem? odpowiedź bo nareszcie doprowadzisz mnie do gniewu. Przecież wartoby nauczyć się takiego sposobu!... Jakież dowód nam dają, już nie powiem swej miłości, ale nawet rzetelności!... jakież rękojmie?...

Raul. Rękojmie!... A co? uosobiony rozsadek...

P. de Renat. A jeźli sług naszych nie przyjmujemy bez jakichś rękojm, toć tem więcej mamy prawo wymagać ich od tych co mają zostać naszymi panami!... A coż jeźli zamiast tego milczą a każą nam odgadywać i wierzyć w ich uczucia; śmieją się wesela, a nam każą płakać i litować się nad nimi; okazują się obojętnymi, a my powinniśmy gonić za nimi i starać się o ich względy!... I coż jeszcze?... Al! nie mów że kochałeś, że obawiałeś się... nie śmiałeś!... to dowód żeś nie kochał!...

Raul. Pozwól mi...

P. de Renat. Nie śmiałeś, boś nie kochał!... Trochę się o swoją godność osobistą, nie kochałeś! Raul. Ale niechże mi wolno będzie!...

P. de Renat. Ach! szukasz zapomnienia!... żenisz się z inną!... chcesz uleczyć się z miłości, to zbyt! Nie kochałeś! nie kochałeś! nie kochałeś!...

Raul (oburzony). Nie kochałem!

P. de Rénat. Niel! niel! niel! i nie zdołasz...

Raul (unosząc się gniewem). Ach! nie wierzysz! wyzywasz mnie!... Otóż wiedz że kocham cię zawsze!

P. de Rénat. Ty mnie kochasz?..

Raul (żywo). Tak kocham... i zawsze kochałem ciebie i tylko ciebie...

P. de Rénat. I śmiesz to mówić!...

Raul (j. w.). Tak, śmiem i mówię.

P. de Rénat. Ależ...

Raul. O tak! nietylko kochałem, ale ubóstwiam cię!... I powtarzam nie masz żadnego, ale to najmniejszego pojęcia o miłości... a nadto zupełnie nie znasz mężczyzn... Mówię ci że nie ma ani jednego, choćby był największym sceptykiem i szydercą, i jak najmniej *poważnym* ci się zdawał, aby nie ukrywał w głębi serca, swego bożyszcza, swego bóstwa, swojej świętej. Jest nią kobieta czyli raczej obraz kobiety, matki, siostry, przyjaciółki lub nawet jakiejś nieznanym; jest to postać idealna i urocza, wytworzona ze wspomnień lub z marzeń, może nie możliwa w rzeczywistości, ale jedyna w jaką wierzy, otacza najgłębszą czcią i uwielbieniem, do niej zwraca najgorętsze swoje pragnienia i uniesienia... A ideal ten tak przewyższa wszystkie kobiety, że żadne błędy ani zbrodnie ludzkie dosięgnąć jej nie mogą, i nikt i nic nie zdoła wydalić ją z serca w którym kryje się na wieki, promienna, czysta i niepokalana... Taką świętą ty byłeś dla mnie!...

P. de Rénat (wzruszona i zadziwiona). Ależ... Raulu!

Raul (z gniewem zamieniającym się w coraz żywsze rozrównanie). I jesteś w sercu mojem i pozostaniesz w niem na zawsze, na zawsze, na moje nieszczęście!... O! nie mówię bynajmniej że mnie to wtrąci do grobu, że sobie życie odbiorę, coś znowu tak mówić mogą ludzie poważni, tacy co kochają, poetci... ale ja co nie jestem poważnym, ja co nie kocham i jestem pospolitą, prozaiczną istotą, ja będę żył, będę śmiać się i mówić o czem innem, i ożenię się i będę miał mnóstwo dzieci... Tak... tak... i tylko... tylko... (brak mu głosu) Ach! wujenku, bardzo, bardzo okrutną byłeś dla mnie!

P. de Rénat (żywo wzruszona). Ależ ja... nie.. wszak to tylko tak dobrze odgrywasz umówioną rolę?

Raul. Rolę!... (bierze jej rękę i kładzie na swojej twarzy) A te łzy!...

P. de Rénat. Raulu! drogi Raulu.

Raul. Ach! moja kochanko! moja żono!...

Scena dziesiąta,

Ciż, Antosia.

Antosia (słodko). Czy można wejść?

P. de Rénat. Tolka!

Raul. Panna Antonina!

Antosia. No! tak, ja... ha! ha! ha! jaką teraz zabawną masz pan minę.

P. de Rénat. Ty byłaś...

Antosia. Byłam... ha! ha! ha! co i ty także, droga opiekunko... coś to jest co się wam obojgu stało?... Ja byłam u proboszcza zanieść moją odpowiedź.

P. de Rénat. Jaką odpowiedź?

Antosia. No przecież wiesz, że przyrzekłam panu Cravate dać mu ją dziś wieczorem... ha! ha! ha! musiałam przecie dotrzymać słowa.

P. de Rénat. A więc?

Raul. Coś odpowiedziała?

Antosia (patrzając na niego, cicho). Al jak się pan boisz!... ha! ha! ha!

Raul. Odpowiedź, panno Antonino.

Antosia. Jestem złośliwa, nieprawdaż?... No, uspokój się pan... (głośno) „obwarowałam“ jego nadzieje.

P. de Rénat. Więc nie odmówiłaś panu Cravate?

Antosia. Nie, jestem notaryuszem... Miałas słusność, to zacy człowiek... Tak żywo był wzruszony gdy mu powiedziała że przyjmuję jego oświadczenie, iż zawołał kładąc rękę na sercu: „Ach panno Antonino, dzień dzisiejszy i dzień w którym zostałam notaryuszem, to najpiękniejsze dni w mojem życiu!“

Raul. A więc idziesz pani za niego?

Antosia. Biedny pan Raul... jeszcze tego nie zrozumiał... ha! ha! ha!... wyraźnie myśli! zebrać nie może... no, droga opiekunko, ulituj się nad nim, idź za moim przykładem „obwaruj“ jego nadzieje.

P. de Rénat. Ach! słuchałaś naszej rozmowy.

Antosia. Troszkę... z początku... ale czy sądzisz że potrzebowałam słyszeć waszą rozmowę aby zrozumieć... (posuwa ją ku Raulowi) No, dalej.

P. de Rénat (obok Raula). Ależ, Raulu!... doprawdy... pojąć nie mogę!...

Raul. To iskra! moja wujenku, moja żono!

Antosia (do P. de Rénat). Więc jesteś szczęśliwa!

P. de Rénat. Kochana Tolko! (ściśka ją) Cóż to... co tobie?... płaczesz?...

Antosia. O to nie!... to tylko... śmiałam się bardzo...

P. de Rénat. Doprawdy, Raul ma słusność... nie masz iskry.

Antosia (patrzając na nią czule). Droga moja opiekunko!...

KONIEC.

NOCNA PIEŚŃ.

(z Goetego).

Na wyżynach gór,
Spokój wionął ciszę;
Na wierzchołkach bór
Liści nie kołysze;
Ledwo powiew drży,
Ptaszki drzemia mile...
Ot, zaczekaj chwilę,
Spoczniesz gdzieś i ty...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

EUGENIA LA WAL.

powieść z życia społeczeństwa francuskiego

napisana oryginalnie

przez

Kazimierza Gregorowicza.

(Dalszy ciąg).

Jak wiadomo nieszczęsny wielbiciel Eugenii, po wypiciu znacznej ilości rozmaitego rodzaju win, myślał jedynie o wypoczynku. Przybyły niespodzianie gość, używający w całej okolicy wielkiego zachowania, zniweczył te słodkie zamiary zniwalać gospodarza do czynienia honorów domu.

Busson nieświadomy układów zawartych pomiędzy panią Lucas a Karolem Pigrenier, wyraził podziwienie na widok pałacu urządzonego z nadzwyczajną wspaniałością, a stojącego dawniej pustkami.

Gospodarz jakoteż i jego mentor, pod wpływem podochocenia, powiadomili pytającego o przybyciu

wkrótce do pałacu nieznanej piękności której jednak nazwisko do pewnego czasu ma być ukrytem starannie.

Busson był nieco zakłopotany, gdyby bowiem uczucia młodego rozpustnika zwrócone były w inną stronę, to wypadało obmyśleć nowe środki działania, celem dopięcia zamierzonego celu. Udał jednak wybornie obojętność mówiąc z powagą.

— Każdy wiek ma swoje wymagania dla mężczyzny do lat trzydziestu miłość jest najważniejszym przedmiotem, dla tej to przyczyny wspominałmy wszyscy z takim rozrównaniem o wieku młodziem, będącym prawdziwą wiosną naszego żywota. Niewłaściwy jednak wybór nawet w związkach przemijających, wywołać może w przyszłości najsmutniejsze następstwa.

Młódzież z tego względu powinna być nadzwyczajnie ostrożna. Otóż mając zlecone interesa naszego sąsiada pana Góreckiego, dwudziestokilkuletniego młodzieńca z duszą nadzwyczajnie poetyczną uważam za obowiązek rozciągnięcia nad nim pewnej opieki moralnej, aby go uchronić od niewłaściwości wyboru. Pomiędzy bowiem młodzieżą francuską a polską zachodzi ważna różnica; gdzie bowiem pierwsza traci jedynie majątek, to druga wychodzi ze szwankiem na honorze; zawierając małżeństwa nieodpowiednie zupełnie.

Z takiej to właśnie przyczyny, oddaję panom wizytę, celem zebrania potrzebnych mi wiadomości. Górecki spotkawszy wypadkowo jedną ubogą pannienkę, zachwyconym był nadzwyczajnie jej pięknoscia, jakoteż niepospolitym talentem muzycznym. Wedle jednak wieści krążącej, pan Pigrenier miał z nią, a nawet podobno ma jeszcze stosunek bliższej znajomości. Po przyjacielsku radbym powziąć wiadomość, jak takowy sięgał daleko, aby uchronić w razie potrzeby niedoświadczonego Góreckiego, od smutnych następstw miłości skierowanej do kobiety, niegodnej tego uczucia.

— O kim pan mówi panie Busson? o kim pan mówi? krzyknął Pigrenier.

— O pannie Eugenii Lawal, rzekł obojętnie Busson. Po pierwszym jej zobaczeniu, Górecki utracił serce a prawdopodobnie i panienska nie będzie obojętną, zwłaszcza powziawszy wiadomość o wielkim jego majątku.

— O ja nieszczęśliwy! zawołał rozpaczliwie Pigrenier, byłem w przededniu szczęścia a tymczasem mogę je utracić na wieki. Cios okropny mogący mnie pozbawić życia. Przyjacielu ratuj, mów! zwracając się do John Waksfelda ze łzami w oczach, doradz co robić, bo ja ją kocham, bo bez niej żyć nie mogę.

Chociaż z innego względu, ale Amerykanin był także zasmucony odebraną niespodzianie wiadomością. Pewność bowiem pomyślnego rozwiązania zakładu nadzwyczajnie została zmniejszoną, skoro stanął w szrankach tyle niebezpieczny współzalcownik. Tysiąc luidorów uważał już za swoją własność, układając na tej podstawie zamiar dalszej podróży, a tymczasem zagrożonym został utratą tyle potrzebnej mu kwoty pieniężnej.

Zwiesiwszy więc smutnie głowę na piersi siedział zamyślony, nie wiedząc jak przezwyciężyć napotkaną trudność. Jeden tylko Busson był nadzwyczajnie uradowany, dostrzegłszy głębszą aniżeli przypuszczał miłość Karola Pigrenier.

Nie okazał jednak żadnym znakiem zewnętrznym swego zadowolenia, przybierając wybornie obojętną postawę, jakby cała ta sprawa nie miała dla niego osobistej najmniejszej doniosłości.

Tymczasem Pigrenier widząc uporczywe milczenie John Waksfelda, szarpał go za rękę niecierpliwie mówiąc.

— Przyjacielu drogi, czy nie widzisz mego niepokoju i mej boleści? Przemów nareszcie, bo do prawdy oszaleję.

— Przedewszystkiem trzeba zbadać dokładnie obecny stan rzeczy, rzekł John Waksfeld wracając do właściwej mu powagi. Radbym wiedzieć wszystkie choćby najdrobniejsze szczegóły, dotyczące wzajemnego poznania się dwojga młodych ludzi.

Busson czyniąc zadosyć wyrażonemu życzeniu, odpowiedział jak najszczerzej: o wieczornej grze Eugenii, o wielkiem wrażeniu doznanem z tego względu przez Góreckiego, i o późniejszej ich rozmowie.

— Obecnie jest chwila stosowna, mówił w zakończeniu, do przedsięwzięcia środków zaradczych, ale nie trzeba tracić ani jednej chwili czasu. Najmniejsza zwłoka może spowodować nieobliczone następstwa. Wrażenie spowodowane jedną tylko rozmową może być zatartem, ale gdyby mieszkali nadal obok siebie to nie ręczyłbym za przyszłość, szczególnie ze względu na ślamazarne usposobienie młodego Polaka.

Uwaga zrobiona przez Bussona, zaniepokoiła tembardziej nieszczęsnego Karola Pigrenier, szarpał więc nielitościwie John Waksfelda chcąc zniewolić go do udzielenia odpowiednich wskazówek do dalszego postępowania.

— Gdyby to nie było we Francji, rzekł John Waksfeld, to całą sprawę skończylibyśmy po amerykańsku. Urządziwszy wyprawę nocną porwalibyśmy matkę i córkę, poprowadziwszy ostatnią w objęcia stęsknionego kochanka. Jeżeli jednak chodzi tylko o wydalenie Eugenii z zamku Verrières, to zdaje mi się że pan, mówiąc zwracając się do Bussona, może sprawę podobną ukończyć z największą łatwością.

— Widocznie niejasno wypowiedziałem powód mego przybycia, rzekł Busson. Nie chodzi mi bowiem wcale o bezwarunkowe zerwanie stosunków Eugenii z Góreckim. Ostateczne moje postanowienie zawisło od wiadomości, jakie zbiorę o jej postępowaniu. Nie mam bowiem nic przeciwko temu, aby Górecki poślubił choćby najuboższą, aby tylko uczciwą panienkę. Podobny jemu bogacz nie potrzebuje szukać posagu. Powziąwszy zatem wiadomość, o dawniejszych zalotach pana Pigrenier, prosiłbym go o szczerze objaśnienie mnie; w jakich stosunkach zostawał i zostaje ze wzmiankowaną wyżej panienką.

— W stosunkach jak najlepszych, zawołał Pigrenier z uniesieniem, bo przecież nie dla kogo innego, tylko dla niej urządziłem ten pałac z takim kosztem i przepychem. W przyszłą niedzielę miała przyjechać stanowczo wraz ze swoją opiekunką panią Lucas. Oddanie mi pierwszeństwa przed tylną innemi wielbicielami uszczęśliwiało mnie nadzwyczajnie. Nie zwracałem przeto uwagi na wydatki, przyjmując wszelkie zobowiązania, jakich tylko ode mnie żądano.

Busson słysząc powyższe oznajmienie, nadzwyczajnie był zdumiony, znając bowiem dobrze Eugenię, nie mógł wierzyć w jego prawdziwość. Z drugiej jednak strony zbyt krótkie urządzenie pałacu nie było bez pewnego znaczenia. Widocznie młodzieniec miał pewną nadzieję sprowadzenia ukochanej, kiedy wyrzucił znaczną kwotę pieniędzy na przygotowanie prawdziwie królewskiego mieszkania.

Po chwili zastanowienia bystry jego umysł odgadł łatwo tajemnicę, poznawszy bowiem dokładnie panią Lucas, nie wątpił o nawiązywaniu przez nią nowego rodzaju intrygi. Karol Pigrenier był ofiarą jej przebiegłości, budując przyszłe widoki bez najmniejszej podstawy. Podobny stan rzeczy był nadzwyczajnie sprzyjającym dla zamiarów Bussona, nie

okazał przeto żadnej wątpliwości, mówiąc głosem jak najbardziej stanowczym:

— Dziękuję panu jak najserdeczniej za udzielone szczegóły. Wobec tego co zaszło, wypada bez najmniejszej zwłoki użyć odpowiedniego środka do usunięcia Eugenii z zamku Verrières. Chwilowe zaślepienie młodzieńca mogłoby zwichnąć całą jego przyszłość. W tym celu jednak niepotrzeba używać gwałtownych środków amerykańskich. Drobną okoliczność posłuży nam wybornie.

Pan Pigrenier pojedzie dzisiaj do E... wracając w towarzystwie z Eugenią aż do zamku Verrières. Ja wyjdę w tym czasie z Góreckim na przechadzkę a skoro ten dostrzeże ubóstwiąną przez siebie piękność obok młodego kawalera o tak późnej godzinie, to z wszelką pewnością pogarda w jego sercu zastąpi kielkującą miłość. Dla wszelkiej pewności przywołam pana do siebie, i na uczynione przeze mnie zapytanie, opowie pan szczegóły podane przed chwilą do mojej wiadomości.

Środek tak niewinny, będzie aż nadto wystarczającym, do odwrócenia od Góreckiego grzącego mu niebezpieczeństwa. Odebrana lekcyja nie będzie i na przyszłość bez pożytku bo doznane przykre wrażenie uchroni go od zawierania nieodpowiednich znajomości. Nie traćmy zatem czasu panie Pigrenier, każda chwila jest droga, jedźmy zająć właściwe nam stanowiska, aby przez zwłokę nie popełnić błędu, mogącego wywołać następstwa nadzwyczajnie trudne do cofnięcia.

Busson wstał z krzesła patrząc ze zdziwieniem na gospodarza, siedzącego nieruchomo. Biedny Pigrenier zostawał w nadzwyczajnym kłopotcie, nie mając bowiem najmniejszego przystępu do Eugenii, nie mógł w żaden sposób uczynić zadosyć życzeniu Bussona. Nie śmiał jednak wyznać prawdy, z obawy, aby jego lekliwość nie wywołała pośmiewiska. Z Bussonem jednak niełatwa była sprawa; zachodził go z różnych stron, aż nareszcie przyparty do muru młodzieniec wyznał prawdę, wskazując panią Lucas jako jedyną pośredniczkę w przeprowadzonych układach.

Busson wiedząc dobrze o tem, rzekł obojętnie:

— Wiadoma to taktyka pewnego rodzaju kobiet, pragnących wyciągnąć jak największe korzyści. Przy zawieraniu umów, używają zawsze pośrednictwa osób trzecich, aby tem wybitniej okazać swoją bezinteresowność. Pani Lucas jednak nie kłamie, znaną mi jest z tego względu, Eugenia zatem wie o wszystkim i kiedy jej opiekunka przyrzekła zamieszkać w zamku przez pana urządzonym, to nie inaczej, jak po zezwoleniu swej wychowawcy. Tak nikczemne postępowanie oburza mnie, nie chcąc więc aby pan był dalej wyzyskiwanym, skłonię właścicielkę magazynu do oddalenia podstępnej dziewczyny, a to zniewoli ją do przyspieszenia wyjazdu, zwłaszcza skoro dotychczasowe mieszkanie w zamku będzie jej wymówionem. Niech więc pan dzisiaj pomówi z nią stanowczo, opowiadając jej umowę zawartą z panią Lucas. To ją zajmie pomimo woli. Nie potrzeba abyś pan szedł z nią całą drogę, dosyć będzie podejść w jej towarzystwie pod parkan ogrodowy, aby tylko Górecki zobaczył panienkę wracającą do domu z młodym człowiekiem.

Pigrenier po przełamaniu najtwardszych lodów, nie widział potrzeby tajenia innych szczegółów, rzekł przeto z widocznym przestachem.

— Łatwo panu mówić o przystąpieniu do panny Eugenii, bo widocznie pan nie zna Wiernego.

— Cóż to za Wierny? zapytał zdumiony Busson.

— Ogromny pies, odpowiedział Pigrenier z mimowolnym dreszczem, zdolny obalić na ziemię najsilniejszego człowieka. Żeby jego nadzwyczajnej

długości, a mocy ich niestety doświadczyłem na własnem ciele.

Panna Eugenia nie wychodzi nigdy bez jego towarzystwa i kocha go jak prawdziwego przyjaciela. a niegodziwy pies zasłużył na udzielone mu miano Wiernego, bo gotów jest rozszarpać każdego chcącego podejść ku jego młodej pani.

Rada przeto udzielona przez pana jest niemożliwą do wykonania, i trzeba obmyśleć coś lepszego.

Busson nie mógł powstrzymać śmiechu, na widok tak małej radności ograniczonego młodzieńca.

— Zaiste byłaby rzecz nadzwyczajna, rzekł nareszcie, gdyby pies choćby nawet z rodzaju olbrzymów, miał przeszkodzić wykonaniu zamiarów przez nas powziętych. Na podobnego nieprzyjaciela nie trudno znaleźć odpowiednie środki. Samo nawet przywiązanie Eugenii do jej towarzysza ułatwia zadanie.

Weź pan z sobą rewolwer lub dubeltówkę, grożąc śmiercią Wiernego, jeżeli jego właścicielka nie zezwoli wyjątkowo dzisiaj, na swoje odprowadzenie aż do progu mieszkania. Obawa o życie ulubieńca zniewoli panienkę do przyjęcia stawionego warunku. Mogę panu w tej mierze dopomóc wiele, pisząc list do właścicielki zakładu, aby przetrzymała panny przy pracy dłużej niż zazwyczaj. Późnym wieczorem droga będzie osamotniona, a tem samem nikt panu nie przeszkodzi, do przeprowadzenia zamierzonego dzieła.

— Oh jaki ja głupi, zawołał Pigrenier z zupełnem przekonaniem, nie używszy dawniej tak wybornego środka. Ile wieczorów straciłem na próżno i może już dzisiaj byłbym z Eugenią w najlepszych stosunkach. Dziękuję panu serdecznie za udzieloną radę. Jadę natychmiast do E... zabiorę z sobą dubeltówkę i dwa rewolwery, a z pewnością nie zabraknie mi odwagi, choćby przyszło obrzydlivemu psu roztrzaskać czaszkę na drobne kawałki.

Po udzieleniu odpowiednich wskazówek, i napisaniu stosownego listu do właścicielki magazynu, Busson wraz z Karolem Pigrenier wyszli przed pałac gdzie oczekiwały na nich zaprzężone powozy.

Pigrenier uzbrojony od stóp do głów pojechał szybko do E... a tymczasem Busson przeprowadzał najmniej spodziewaną rozmowę z John Waksfeldem.

Jak to wiadomo, Amerykanin w początkowej rozmowie przyjął udział, później jednak umilkł, złośliwy tylko uśmiech okazywał się od czasu do czasu na jego ustach, i spoglądał podejrzliwie na Bussona. Tak niezwykle postępowanie spostrzegł nieproszony opiekun Góreckiego, to też z rozmysłem opóźnił odjazd, w chęci przeprowadzenia rozmowy bez świadków.

Po odjeździe Karola Pigrenier przystąpił śmiało do John Waksfelda; pytając bez żadnego wstępu.

— Co znaczą pańskie uśmiechy i pańskie spojżenia?

— Zdawać sprawy z moich myśli, nie mam żadnej potrzeby, odpowiedział dumnie Amerykanin. Rozumiem jednak doskonale stan rzeczy, Eugenia jest niewinną, pani Lucas zwodzi głupiego Pigreniera, a kto wie czybym nie odgadł i przyczynę tak troskliwej opieki pańskiej nad niedoświadczonym Góreckim. Dla każdego dobrego ojca, zięć równie bogaty jest nadzwyczajnie pożądanym.

W pewnych wypadkach Busson umiał być hojnym. Weiskając więc dwa rulony po sto dukatów w rękę John Waksfelda rzekł:

— Zostańmy dobrymi przyjaciółmi. Dwa razy tyle skoro Eugenia przybędzie na mieszkanie do przygotowanego dla niej pałacu, a dziesięć razy ty-

le skoro ostateczne zamiary moje uwięzione będą powodzeniem.

Czyn był nadzwyczajnie śmiały, bo Amerykanin i rzybierał zawsze postawę i mowę wielkiego bogacza. Pewne jednak oko Bussona nie zawiodło go w tym razie; John Waksfeld schował pieniądze do kieszeni nie tylko bez odrazy, ale z najmiłym uśmiechem mówiąc:

— Mileść będę jak skała, a w potrzebie udzielię wszelkiego możliwego poparcia.

Busson wracając do zamku Verrières, chciał zobaczyć swoją małżonkę celem wtajemniczenia jej bliżej w swoje zamiary. W drodze rozbiegając spełnione przez siebie czyny w dniu dzisiejszym, czuł w sercu największe zadowolenie. Zarozumiały i pyszny, najdrobniejszego nawet powodzenia nie chciał przypisać nigdy szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, ale zawsze siłę swego sprytu, umiającego przezwyciężyć największe trudności. W obecnym wypadku podziwiał szczególnie zrzeczność przez siebie okazaną, w zabezpieczeniu swej dobrej sławy od wszelkiego możliwego szwanku. Był w zupełnym porządku odwołując Góreckiego od znajomości z Eugenią, bo gdyby nawet niewinność tejże była udowodniona, to mógł udać wybornie wprowadzonego w błąd przez intrygi pani Lucas, i kłamliwe oświadczenie Karola Pigrenier. Lekceważył przytem nadzwyczajnie zdolności umysłowe Góreckiego, nie wątpiąc o możliwości otumanienia go w każdym razie, choćby nawet w najbardziej trudnych warunkach.

Dla człowieka podobnych jemu zdolności, walka z takimi przeciwnikami jak Górecki lub Pigrenier, była zabawką, niemogącą w żadnym razie wywołać szkodliwych następstw. Jedynie tylko John Waksfeld objawił spryt niezaprzeczony, odgadując jego myśli tajemne. Odpowiedź jednak, jaką odebrał, była genialną, bo za jednym rzutem oka ocenionym był należycie, i środek użyty był nadzwyczajnie trafny do zrobienia go sprzymierzeńcem w tyle ważnym przedmiocie.

Myśli podobne, łechcąc nadzwyczajnie rozwiniętą miłość własną Busson'a, wprowadziły go w niezwykłą mu wesołość, tak że zajechał przed swój pałac, nucąc jakiś wyjątek z opery. Nie miał czasu do stracenia potrzebując czuwać pilnie nad Góreckim, aby ten wypadkowym sposobem nie był powiadomionym o prawdziwej historii życia Eugonii. Wziąwszy więc żonę pod rękę, poszedł z nią do ogrodu wybierając odkrytą jego stronę, bo wedle jego zdania, tak drzewa jakoteż mury domu mogły mieć uszy, a tem samem nie była zachowaną należycie przeczność, skoro pod ich osłoną udzieloną była ważna tajemnica.

— Żono kochana, mówił, trzeba starannie przejrzeć garderobę Józefiny, szczególnie pod względem rannych ubrań i sukien skromnych ale gustownych, jakie zazwyczaj nosi około domu.

— Wszystko będzie zrobione wedle twego życzenia, odpowiedziała żona, dla której każde słowo męża było prawem. Z wyrazu jej oczów można było dostrzedz ciekawość, ale nie śmiała uczynić najmniejszego zapytania. Dostrzegłszy to Busson, rzekł:

— Wydamy Józefinę za Góreckiego, małżeństwo ich postanowiłem przeprowadzić w prędkim czasie.

— Ah, co za szczęście! zawołała kobieta z radością, nie wątpiąc ani na chwilę o powodzeniu wszelkich zamiarów jej małżonka. Jakim jednak sposobem urządzisz ich poznanie, kiedy Górecki nie chce wyjeżdżać nigdzie z odwiedzinami.

— Naśladować będziemy przykład, dany przez Mahometa, mówił Busson z wesołym śmiechem, sko-

ro góra nie chciała przyjść do niego; to on poszedł do góry, co ostatecznie wyszło na jedno.

— Co to znaczy mój mężu, zapytała kobieta nie tyle nie rozumiejąc, ile nie chcąc zrozumieć zrobionego porównania.

— Znaczenie bardzo proste, mówił Busson, bo skoro Górecki nie chce przyjechać do nas, to my pojedziemy do niego.

Pomimo całego zaufania w rozum męża, kobieta z pewnem zdumieniem spojrzała na niego szepnąwszy ścicha:

— Czy to będzie przyzwicie?

— Wszystko zależy od wykonania, odpowiedział Busson niedbale. — Gdybym naprzykład zachorował nagle i niebezpiecznie w zamku Verrières, to rzecz prosta, przyjechałabyś czuwać nade mną. Na wyrażne moje żądanie możnaby sprowadzić Józefinę. Później jedno z dzieci młodszych zachoruje na krup, wrócisz zatem do domu czuwać nad niem. Najstarsza nasza córka zostanie na kilka dni z Góreckim, a to więcej niż trzeba do zawrócenia głowy wrażliwemu nadzwyczajnie młodzieńcowi.

— Ah! jak ty wszystko mądrze urządziłeś, zawołała kobieta z uniesieniem, nie podobnego nie przyszłoby mi do głowy. Doprawdy jesteś człowiekiem genialnym. Przyjaciółki będą nam zazdrościć tak bogatego męża. Kiedyż nastąpi wykonanie?

— W niedzielę, bo odpowiednie przygotowania w czesnie były zrobione. Dzisiaj jeszcze napiszę do dwóch przyjaciół, mających przybyć pod pozorem kupna lasu. Doktor także zamówiony. Nie trzeba jednak wspominać Józefinie ani słowa o podejściu, bo jej duma mogłaby być obrażona. Będzie miała ułatwioną możność okazania boleści i niepokoju, a z tem jej prześlicznie. Później pomówię z nią obszernie, skoro młodzieniec straci serce. Trzeba będzie wyjednać znaczny zapis przedślubny, aby na wypadek rozwodu lub śmierci męża, córka nasza miała o czem przeżyć swoje wdowieństwo. W tym celu udawać będę niechęć do wydania Józefiny za cudzoziemca. Rozkochany Górecki zrobi wszystko co zechcemy, bo łatwowierny i czuły, co zawsze jest przywilejem każdego głupca. Do widzenia moja droga, a pamiętaj przyjechać z twarzą zafrasowaną, skoro konny posłaniec da ci znać o nagłej mojej chorobie.

Rozdział VI.I.

Józef d'Avesnes zachwycony okazaną siłą woli przez Eugenię, jakoteż jej nieograniczonym poświęceniem dla przybranej matki, postanowił w sposób o ile możliwości najdelikatniejszy wpłynąć na poprawę jej losu. W tym celu przedstawił rzecz całą swemu wujowi, będącemu merem w miasteczku E... a po wspólnej naradzie zamierzili przedstawić naszą bohaterkę do otrzymania wienca cnoty.

Po zamieszczeniu jej nazwiska na liście w tym celu sporządzonej, rozpoczęte zostało śledztwo dotyczące czasów przeszłych i obecnych życia Eugonii, prowadzone nadzwyczajnie ściśle i umiejętnie. Prócz wiadomości zbieranych przez radę miejską, zawezwaną była nadto policja, nmiejająca wykryć czynności przeprowadzone w największej tajemnicy.

Wedle przepisów prawa, przyszła uwięczona nie powinna wiedzieć aż do ostatniej chwili o czekającym ją zaszczycie. Chciano tym sposobem czas próby o ile możliwości przedłużyć, a nadto zmianę położenia uwzględnić tem silniej, skoro nędza nagle zmieniona będzie na względny dostatek.

Nie chciano przytem biednych pańsztek narażać na przykry zawód, skoro niewszystkie a tylko jedna z nich otrzymać może ustanowioną nagrodę.

Konieczne w tym razie zniechęcenie pominiętych, mogłoby wyrzucić wpływ nader szkodliwy na późniejsze ich postępowanie. Prawodawca przeto zaleca tajemnicę i w tym razie była ona zachowaną jak najściślej. D'Avesnes nie tylko nie chciał rozgłaszać, ale przeciwnie o ile możliwości tał swoje zabiegi, aby przyznany wieniec cnoty z natchnienia samej władzy, bez wpływu osób trzecich, był tem miłszy dla Eugonii.

Wszelkie jednak sprawozdania dotyczące przeszłego i obecnego jej życia, nie tylko nie rzucały żadnego cienia, ale przeciwnie były dla niej największą chlubą, podnosząc jej postać do niezwyklej wysokości moralnej.

Żadna z jej współzawodniczek nie przeszła ani przez tak wielką zmianę losu, ani nie była narażona na tak ponętną pokusę, a nawet i poświęcenia swego nie posunęła tak dalece. Z takich więc przyczyn mer miasteczka E... zamieścił nazwisko Eugonii na czele przygotowanej listy, oddając takową pod przedwstępne rozpoznanie rady miejskiej zebranej w pełnym składzie. Nie wątpił o jednomyślnem potwierdzeniu wydanej przez siebie uchwały, a tymczasem wywołał nader silny opór z niespodzianego stanowiska. Jeden z członków rady miejskiej zażądał ani mniej ani więcej, tylko wykreślenia Eugonii z listy kandydatek. Stawiony wniosek usprawiedliwiał wyższem ukształceniem i starannem wychowaniem pańszki. Dary nabyte rozwijając stronę duchową, wedle jego zdania, zmniejszały zasługę osobistą kandydatki, stawiając ją niżej od dziewięciu umiających zaledwie czytać i pisać, żyjących czysto od dzieciństwa wśród najgorszych przykładów, a mimo tego postępując wytrwale drogą moralności, pracy i poświęcenia. Wedle zdania szanownego członka lubiącego nadzwyczajnie subtelne wywody, przyznany Eugonii wieniec cnoty byłby więcej obrazą dla niej aniżeli zaszczytem.

Rozprawy prowadzono wedle obyczaju francuzkiego, z nadzwyczajną żywością. Przy całej jednak zaciętości mówców, nie można było dojść do stanowczego wyniku, bo rada miejska rozdzieloną było prawie na dwie równe połowy, z których każda stawiała w obronie odmiennej zasady. Mer jako prezydujący, ograniczał swoje działanie na rozdawaniu głosów, nie objawiając ostatecznego zdania; trzynasty zaś członek rady miejskiej pan Chevalier milczał uporeczywie, nie dając poznać żadnym znakiem zewnętrznym, czyje wywody trafiają do jego przekonania.

Zagadkowa jego postawa wyniosła go w tym razie na stanowisko naczelnie w zebraniu, bo od jego kreski zawisła była ostateczna uchwała. Przybyły, ni by dla odwiedzenia wuja, d'Avesnes, będący potajemnie w drugim pokoju, drżał z niecierpliwości, nie mogąc z wielu względów przewidzieć zdania pana Chevalier. Nareszcie milczący dotąd członek rady miejskiej zażądał głosu, stając jak najzupełniej po stronie Eugonii Laval. Obdarzony nie tak płynnością słowa, ile nadzwyczajnie silnym organem mowy, jeżeli nie przekonał to przekrzyczał wszystkich. Większością przeto jednego głosu postanowienie mera dotyczące Eugonii, utrzymano w swej mocy.

Uchwała opartą była ostatecznie na bardzo kruchej podstawie, szczególnie ze względu na dziwaczne dosyć usposobienie p. Chevalier. Sława jego była rozgłosna z powodu łatwego zmieniania wyobrażeń politycznych i w ogóle wszelkiego rodzaju zdań, objawianych w najrozmaitszych przedmiotach. Politycznie przeszedł przez wszystkie obozy znanych stronnictw francuzkich. Początkowo był gorliwym legitymistą, ale skoro jeden z markizów odmówił mu ręki swej córki, stanął po stronie Orleanów, po

pierając ich wedle zwyczaju, nietylko otwarcie ale nadzwyczaj krzykliwie. Cesarz Napoleon III, umiędąc jednąć sobie stronników, z powodu baczego nadzoru rozciągającego przez p. Chevalier nad miejscowym szpitalem, przesłał mu krzyż legii honorowej. Otrzymały zaszczyt wzruszył wielce obdarowanego, odtąd został zapalonym zwolennikiem drugiego cesarstwa, gromiąc nieubłagane wszelkie stronnictwa przeciwnie. Nieszczęsna wyprawa sekańska została bez wpływu na jego wyobraźnię, ale w trakcie tego stronnictwo republikańskie oceniając liczne zasługi p. Chevalier w różnych sprawach miejscowych, wybrało go nietylko na radcę miejskiego, ale i na radcę departamentalnego.

Otrzymały zaszczyt podwójny był niemałego znaczenia, to też wybrany dygnitarz stanął ostatecznie pod chorągwią republikańską. Czerwona jednak wstążeczka będąca oznaką posiadanego przez niego orderu, miała tyle uroku w jego oczach że szydząc z Henryka V i jego wyznawców; gromiąc surowo Orleanów, nie śmiał ani słowa powiedzieć o Bonapartystach. Przybywał nawet od czasu do czasu na nabożeństwa uroczyste wyprawiane przez toż stronnictwo, tłumacząc swoją obecność względami osobistej przyjaźni.

Tak jak w polityce, tak i we wszelkich innych względach pan Chevalier ulegał nadzwyczaj łatwej zmianie. Nikt, a nawet on sam nie mógł ręczyć za dzień następny. Najmniejszy względ osobisty, najlżejszy podszept szeroko rozwiniętej miłości własnej, wywoływały zdanie, przeciwnie wyrażonemu przed chwilą. Na czynione z tego względu zarzuty odpowiadał z uniesieniem.

— Niewzruszoność zdania nie jest zaletą ale wadą. Człowiek myślący wiele i mający odwagę wypowiedzenia swoich przekonań, z każdym dniem nabiera coraz większego doświadczenia, a tem samem zmiana wyobrażeń jest nieuchronną.

Na podobnego człowieka nie można było liczyć wiele, d'Avesnes przeto używał wszelkich możliwych środków do oddziaływania na zmiennego członka rady miejskiej, tak, aby ten nie odstąpił od raz objawionego zdania.

Na nieszczęście w działaniu owem nie zwrócił uwagi na tyle właściwą dla narodu francuskiego przestrożę Taileranda, aby nie okazywać w żadnym razie zbytku gorliwości.

Pragnąc gorąco dopiąć zamierzonego celu, zapomniał chwilowo o koniecznej w takich wypadkach ostrożności. Chevalier dostrzegłszy żywe zajęcie się młodzieńca całą sprawą, bez jednej chwili namysłu zmienił zdanie, z dawnego zwolennika zostając najzaciętszym przeciwnikiem Eugenii. Chociaż najniestuszej, miał on wielką urazę do d'Avesna; w przedmiocie najdrażliwszym, bo sercowym; oburząc więc pochwycił nastrożoną możność dokuczenia szczęśliwemu wedle swego mniemania współzawodnikowi. D'Avesnes, nie wiedząc o niczem zadziwił się nadzwyczajnie objawioną mu niechęcią przez Chevalier'go; nie opuścił jednak rąk bezwładnie, ale stojąc przy powziętym zamiarze, więcej niż kiedykolwiek postanowił prosić o pomoc panią hr. de la Fare, jako jedynie zdolną do wywarcia stanowczego wpływu na wyobrażenia kapryśnego członka rady miejskiej, będącego zarazem jej gorliwym wielbicielem.

Był to dowód wielkiego poświęcenia ze strony szlachetnego młodzieńca; dla dobra bowiem osoby trzeciej, prawie nieznannej sobie, zakłócał pokój osobisty mogąc rozbudzić na nowo niezagaśnięte w sercu swem uczucie miłości.

Przed wszystkim jednak koniecznym jest choć krótkie słówko o nowej osobie, złączonej bardzo ściśle z dalszym ciągiem opowiadania.

Pani hr. de la Fare była wdową od lat trzech. Miała ówczesnie dwadzieścia trzy lat życia i dwa kroć sto tysięcy franków rocznego dochodu. Sława jej była rozgłosna z powodu niepospolitej piękności, bystrego nader dowcipu, i wielkiej oryginalności w postępowaniu. Umysł jej był głębszym niezaprzeczeniem, serce zacne i poezciwe, jednocześnie przeciw wyobraźnia jej była nadzwyczajnie rozbujana zbyt wczesnem czytaniem fantastycznych romanów. Pewna siebie, bo popsuta podchlebstwami wszystkich osób, otaczających ją poczasz od rodziców, pozwalała sobie głośno myśleć, przybierając po większej części swawolną drogę postępowania bez względu na następstwa.

Opowiemy jedno zdarzenie jako przykład nader charakterystyczny.

Pani de la Fare już jako wdowa potrzebowała rządcy, do kierowania naczelnie posiadanym przez nią majątkiem. Znalazłszy odpowiedniego człowieka, kazała mu przedstawić właściwe świadectwa, udowadniające jego moralne prowadzenie się. Tymczasem bez jego wiedzy zebrała o nim jak najdokładniejsze i zupełnie zadawalniające wiadomości. Plenipotent przybył w dniu oznaczonym, wioząc plikę rozmaitych świadectw. Oczekując na dziedziczkę, usiadł przy stole w głębokiem zamyśleniu, bo miał liczną rodzinę i rad był bardzo otrzymać nader korzystną posadę. Nagle jakieś rączki małe i pachnące zasłoniły mu oczy. Plenipotent zdziwiony nadzwyczajnie, nie śmiał robić najmniejszego poruszenia. Zawezwany do rozstrzygnięcia zagadki, rzekł dowcipnie:

— Nazwiska nie mogę wymienić bo nie znam, ale stoi za mną niewątpliwie kobieta młoda i piękna.

Rączki odsunięte zostały, a rządcza odwróciwszy się szybko, spostrzegł z największym przerażeniem panią de la Fare, śmiejącą się aż do łez.

— Pani hrabino, mówił biedny człowiek, przepraszam jak najmocniej; nie wiedziałem do kogo mówię, w przeciwnym razie nie byłbym objawił nigdy podobnej śmiałości.

— Czy pan żartuje, przepraszając mnie? rzekła pani de la Fare wśród wesołego śmiechu, komplement jest zawsze przyjemnym dla ucha niewieściego.

— Pani hrabino, mówił plenipotent jeszcze bardziej zmieszany, przywiozłem żądane świadectwa.

— Nie potrzebuję żadnych, odpowiedziała pani de la Fare z całą swobodą kapryśnego dziecka, człowiek bowiem umiejący poznać z jednego dotknięcia ręk do kogo one należą, musi być niewątpliwie [zaczynam, uczciwym i zdolnym.

Rządcza otrzymał upragnione miejsce, uradowany nadzwyczajnie ze swobodnego postępowania dzieckiem. Przy pierwszej zaś sesji podziw jego był jeszcze większy, zobaczywszy płochą na pozór kobietę, obejmującą łatwo najbardziej zawile przedmioty dotyczące jej majątku.

Tak jak w opisanym, tak i w wielu innych wypadkach hrabina lubiła nadzwyczajnie rzeczy nawet najpoważniejsze, przyodziewać w żartobliwą formę. Z tego względu była ona prawdziwym udręczeniem dla licznych wielbicieli, usiłujących wyprowadzić ją ze stanu wdowieństwa. Swobodna nadzwyczajnie z mężczyznami, wzbudziła w ich sercach tysiące nadziei; stanąwszy jednak często nad brzegiem przepaści, umiała zręcznie uniknąć niebezpieczeństwa zamiast upaść, usuwając natrętnego wielbiciele, przekonanego prawie o niewątpliwem zwycięstwie.

(d. c. n.)

POGADANKA.

Zima tegoroczna to jak zapaśnik szamoczący się w walce pięściowej, który to pada to podnosi się i grozą wysiłku pragnie przekonać że nie jest zwyciężonym. Zagraniczne gazety przepełnione są opisaniami srogości jej zarówno na północy jak i południu jak również i wybryków niezwyklej doniosłości. W Szwecyi z braku śniegu czernią się pola i drogi, w Palestynie i w całej Azji mniejszej zapadają się domy pod jego nawałami: w Węgrzech [przez śnieżne nasypy przekopać się niemożna, biedna zwierzyzna dręczona głodem podsuwa się pod wioski i grzęznąc w zaspach daje się chwycić rękami. W Londynie pozamarzały wszystkie stawy i kanały: we Florencyi Arno pokrył się grubą powłoką lodu; w Pireneach pojawiły się wilki dawno tam niewidziane, a w Petersburgu z powodu gwałtownych mrozów, palono na placach stosy drzewa, aby uboga ludność zmuszona przebywać na ulicy, mogła się ogrzewać. U nas mrozy były także bardzo dokuczliwe. Warszawa długi czas brzmiała dzwonekami sanek tłukących się po bruku ulicznym, wiatr świsnął na wszystkie strony, tulono się w futra, używano harców żyźnowych, aż wreszcie przyszła odwilż, z nią błoto, zbiorowiska wody a później ładna pogoda przepełniona nawet zapachem wiosny, tak pożądana dla warszawskiej publiki szukającej w dniu świąteczne rozrywki i zabawy.

Teatra pierwsze tu miejsce znajdują ale docisnąć się do nich niezawsze można. Mamy wprawdzie obecnie dwa inne: teatr amatorów w gmachu Dobroczynności i drugi szkoły dramatycznej p. Derynga, oba bardzo dobrze wywiązujące się ze swego zadania, a nawet jeden niemiecki, ale pierwsze dwa przedstawienia dają raz na tydzień, niemiecki zaś nie dla wszystkich jest przystępny. W teatrze Eldorado bywają także jakieś występy śpiewaków i śpiewaczek, oraz produkuje scen komicznych, wszystko to jednak nie zaspakaja miejscowej potrzeby i gdyby nowe dwa teatra stałe otworzono, powodzenia nie brakłoby im z pewnością, a jakby to zbawiennie wpłynęło na uprzywilejowane, na owo rozstawanie się z wyborowami artystami opery a sprowadzanie bardzo zwyczajnych zagranicznych słono opłacanych.

Karnawał już dawno przebrzmiał: nie było w nim ani głośniejszych szaleństw ani zbyt jaskrawej pustoty: w noc maskaradowe miasto w pośród ciszy gmachów i kamienic, cokolwiek się ożywiało, ale bez gwarnej wesołości co to niegdyś wykrzykiwała: hulaj dusza bez kontusza! Zabawa ta pewnej części hulaszczkiej młodzieży przypadła do smaku, skoro Dolina Szwajcarska dalszy ciąg balów kostiumowych prowadzi w czasie postu z widocznem dla siebie powodzeniem.

Drugą niebywałą dotąd nowością jest pojawienie się pączków w czasie największej potęgi śledzia i oleju. Drobnostka to zapewne niewarta wspomnienia, ale owe balowanie i pączkowanie w porze dotąd niepraktykowanej, przykre jakieś robi wrażenie. Jakkolwiek warunki postu uważać będziemy, zawsze stały się one zwyczajem, którym pomiatanie trudno pochwalić. Anglię wszystko co z przeszłości pochodzi niezmiennie szanują, nawet dorożki jednokonne sławne z niewygody i dziecinne występy przy pochodzie lorda majora pierwszego niemal dostojnika w państwie. Ale... przynajmniej mieniący się być postępowymi świecznikami społecznej szczęśliwości, nie robią z tą zapleśniałą przeszłością zbyt wielkiego kłopotu. Wyśmiewają ją, wyszydza-

ją, pomiatają... to też Angliey... ale bądźmy cicho, niech śpi licho!

W Pradze czeskiej z taką serdecznością wyciągającej do nas rękę, około budowy teatru krzątania nie ustaje. Na czele gmachu już dawno wzniesionego, stoi prześliczny napis: *Naród sobie!*

Nie prawdziwszego nad to wyrażenie. Ani rząd, ani arystokracja nie przyczyniły się niczem do jego budowy, a nawet gdy do jednego z wybitnych członków historycznej arystokracji, zwracano się z prośbą o ofiarę, odrzekł: że dając na teatr narodowy, wykroczyłby przeciw programowi swojej partii, gdyż teatr w każdym razie jest instytucją *niemoralną!*

Doniesieniu temu prawie wierzyć nie można! U nas nieby podobnego nie zaszło, jakże Czechów żałować należy że tak złych mają i to pomiędzy temi co przewodzić narodowi winni.

Pomimo jednak takiej obojętności najmożliwszych, gmach teatralny już się dźwignął, wydano na niego dotąd 1,240,714 guldenów, ze składek, ofiar i loteryi, a brakujące jeszcze 254,382 guldenów, z tego samego źródła zbiorą się z pewnością. Napis zatem na frontonie teatralnym zupełnie usprawiedliwiony.

Tygodnik illustrowany w kronice swej pomieścił listy w kwestyi nazwy Towarzystwa mającego się zawiązać za staraniem naszego kochanego Jubilata Kraszewskiego, we Lwowie, a to w celu szerzenia oświaty pomiędzy prostaczkami, na wzór Matiej czeskiej. W różnych projektach wyraz Macierza przeważał inne, i zdaje się, że Towarzystwo Macierzą polską nazwane zostanie.

Nie jest to złe, ale i niezupełnie dobrze. Wyraz Macierza bądź co bądź niesmaczny i nieużywany co Towarzystwu wprawdzie wartości nie ujmie ale i sławy nie przysporzy. Czyby więc nie było lepiej zatrzymać w zupełności nazwę czeską, i nazwać Towarzystwo Maticą polską? Wszak istnieją już Maticy czeskie, serbskie, dla czegożby i polska nie mogła powstać? Przyjęcie wyrazu pobratymczego nie ubliży bogactwu naszej mowy, a stwierdzi krewieństwo z ludami słowiańskimi i gorące zarazem pragnienie ustalenia z nimi związku rodzinnego. Będzie to niejako serdeczne z naszej strony dla Czechów podziękowanie za dowody objawionej życzliwości. Wprawdzie p. W. D. Borkowski w liście do Tyg. illus. oświadczył, że nazwa Macierz polska wszędzie uznanie znalazła, że odosobnione zdania w rachubę wchodzić nie powinny, że wreszcie jest ona życzeniem całego inteligentnego ogółu. Przed takim stanowczym oświadczeniem należałoby umilknąć i schylić kornie głowy, ale sądzymy że byłoby to wygodnie ale nie po obywatelsku. Dopóki rzecz nierozstrzygnięta obowiązkiem jest każdego ogłaszać zdania choćby najekscentryczniejsze: dopiero postanowienie przez większość przyjęte zamknąć powinno wszystkim usta.

Głosujemy przeto za nazwą Towarzystwa Maticą polską, jako zrozumianą i łączącą nas z innemi ludami słowiańskimi. Oby tylko jak najprędzej z krainy pragnień i marzeń spłynęła w postaci prawdziwej *Mateczki* garnącej pod skrzydła swej opieki miliony.

Jak słońce w obiegu swym wstępuje kolejną w coraz nowsze konstelacje, tak i życie Warszawy przybiera barwy stale niejako wyrobione odpowiednio do pory czasu. Po hulance karnawałowej choć od jakiegoś czasu dość skromnej i umiarkowanej, następują odczyty i koncerty zwykle liczną zawsze gromadzącą publiczność. Piękna to zabawa łącząca w sobie naukę bogaczącą umysł z artystem podnoszącą duszę. Z nowych prelegentów szczególnie p. Sienkiewicz (Litwos) zwrócił na siebie powszech-

ną uwagę. Talent to niepospolity a nawet bez przesady powiedzieć można, że wielki, wyróżniający się z pomiędzy innych łatwością (chwytania rysów wybitnych i przedstawiania postaci z ludu wprowadzonych do opowieści z prawdą niemal fotograficzną, wpadającą wszystkim w oczy. Ale prawda to połowiczna niemalująca głębi ducha prostaczków, mających także serce i umysł badawczy i rozumujący: Na poznanie go niemałego potrzeba czasu, którego pan Sienkiewicz jako młody, nie miał jeszcze zbyt wiele do rozporządzenia. Postacie też jego w obrazach dotąd przedstawionych, z prostaczek, szorstkiej, brutalnej strony, są wybornie nakreślone, porywają czytelników i słuchaczy zachwycają, bo widzą w nich to co sami znają doskonale tylko ujęte w formy niepospolitego artysty. Talentu tak jednak wielkiego, jakim obdarzony został młody pisarz, inne przeznaczenie, stokroć ważniejsze, odsłanianie właśnie tego co ogółowi prawie nie jest znane. Do spełnienia tego p. Sienkiewicz posiada wszelkie warunki, niech tylko postara się bliżej zaznajomić z ludem, ośmielić go do siebie, wyciągnąć na gawędkę, zmaleć niejako w swem stanowisku, przyciągnąć uprzejmością, chwycić za serce życzliwością a z pewnością pozna świat nowy z materiałem niewyczerpanym dla swego talentu. Dziś cały przenikniony znajomością jedynie ujemnej strony ludu naszego tak go wyróżniającego niepoehlebie z pomiędzy inteligentnej części narodu, coż dziwnego że do opowieści swych obiera treść pełną grozy, przejmującą bólem i żalem zarazem? Czyż w życiu ludu nie znajdzie chwil piękniejszych, jaśniejszych pogodą życia, dowodzących szlachetniejszych jego porywów godnych powszechnego uznania?

Składki na biednych Szlżaków idą także i od ludu, czyż to nie dowodzi współczucia jego dla niedoli i uznania braterstwa w pojęciu nadszlachetniejszym? Niedawno p. Aleksander Dziekoński dziedzic Dobek, obrany jednomyślnie tak przez włościan jak i większych posiadaczy, na drugie trzecielecie sędzią gminnym, uczczony został od mieszkańców całego okręgu podarunkiem ozdobnego przyrządu do pisania z godłami sprawiedliwości, napisem odpowiednim i przyjęciem acz skromnem ale serdecznem w którym i włościanie wzięli udział. Czyż to nie przemawia wymownie za pojęciem obywatelskiego obowiązku?

Podobnych przykładów możnaby mnóstwo przytoczyć, rzecz jednak szczegółna, że przemykają przez szpalty pism naszych bez żadnego oddziaływania na pojęcia ogółu. Lud dla niego to zawsze ziemia nieznana, chwast tylko i podle zielska wydająca.

Penieważ gazety doniosły o zawiązaniu i działaniu komitetu w celu podniesienia dramatu i opery w naszym teatrze, należy zatem wierzyć że scena miejscowa wprowadzoną zostanie na papierze na przynależne jej stanowisko. O tramwajach tak koniecznych dla wygody Warszawy i o kanalizacji tak niezbędnej dla zdrowia jej mieszkańców, znowu przycichło, przypuszczać więc można, że kwestye te ponownie na czas niemały ugrzęzły w zapomnieniu. Przebiekają coś o potrzebie zawiązania towarzystwa rybackiego, pszczolniczego, założenia banku pożyczkowego dla posiadaczy ziemskich, jest zatem nadzieja że do pogrzebanych już stu innych projektów, przybędzie kilka nowych, istnych braci śpiących, w drzemce swej majających o naszych potrzebach i pragnieniach.

Gazety amerykańskie doniosły, że Edyson wynalazł dwa przyrządy elektryczne, przy pomocy których można się jednocześnie fotografować np. w Paryżu i Warszawie i odczuwać smak frykasów zjadanych w miejscowości choćby najodleglejszej. Byłby to rzeczywiście cudowny wynalazek, ale na

nieszczęście Kuryer War. nazwał to błagą, prawdziwie amerykańską i kolegów na drugiej półkuli wystrychnął na dudków.

Pan Adam Wiślicki redaktor Przeglądu tygodniowego, znany powszechnie ze złośliwości i nędznych ramot składających rozkrzyczaną biblioteczkę pięciorublową, chwycił się niedawno słownika jeograficznego, i wytknął błędy w nim niemałego znaczenia.

Pod lit. A. i B. powiada p. Wiślicki jako uczonego erudyta, w Przasnyskiem nie ma wsi Akiper zamieszkałej dotąd przez Tatarów sprowadzonych przez Jerzego Wiszniowieckiego a położonej przy rzekach Kur i Kwysy. Znany Jan Ostroróg pisał tam swoją Psalmodyę o której wspomina Bentkowski. Opuśczone również tamże wioskę Alasz z wiatrakami sześcioramiennym: w Pułtuskim osadę Aniliny sławnej postojem armii Napoleona i jego pobytom; młyn wreszcie Bachor, nie jest młynem ale gospodarstwem rybnym i leży nie w Brodnickim powiecie ale pod Szczekocinami.

Zarzuty zatem były ważne, druzgoczące słownik na proch jak to szczególnie lubi p. Wiślicki. Ale niestety, Kuryer poranny, skrzętny zbieracz nowinek, pochwylił to w swoje szpony, i bez żadnych salonowych obstępów, po grubiańsku zaraz na drugi dzień bez żadnej litości oświadczył: że wsi Akiper nie ma na świecie, tylko Jomkipur nazwa sądnego dnia u żydów; że Jerzy Wiszniowiecki nigdy nie istniał a Ostroróg nie pisał nigdy psalmody i Bentkowski o tem nie robił najmniejszej wzmianki; że rzeki Kur i Kwysy nie ma w Przasnyskiem: że *alaszem* nazywa się wódka, *anilina* farbą i że *bachor* i to niejeden znajdzie się wszędzie a więc i pod Szczekocinami.

Prasa nasza codzienna przeczytawszy zarzuty Przeglądu tygodniowego, wybuchła śmiechem dawno jej nieznanym, a co się działo z p. Wiślickim łatwo odgadnąć.

Ale jeszcze jedna wiadomość, oto poraz już podobno setny wydobyło z pod pleśni czasu, kwestyą żebractwa ulicznego, o którym znowu zacznie się gadanina, aby jak lis w bajce, nazwać kiefhasy stronkami.

Przegląd literacki.

(Dalszy ciąg).

W mowie ludowej to bogactwo istnieje dotychczas w całej pełni, ale w klasie wykształconej, počawszy od końca wieku XVIII, wskutek rozmaitych wpływów obcych weszły w powszechny zwyczaj męzkie formy nazwisk kobiecych: pani Bakałowicz, panna Piotrowicz, panna Zareba (!) i t. d. Dziś już niemal powszechnie tak mówią, piszą i drukują.

„Krócej więc lepiej“ powiada pan A. A. K. i zapewne blizki już czas, gdy będziemy mówili i pisali: pani Zieliński, panna Kossobudzki, bo po francuzku i po niemiecku i te także nazwiska muszą pozostać nieodmiennymi (Madame, Frau Zieliński, Mademoiselle, Fräulein Kossobudzki).

Takie zaniedbywanie bogactw ojczystych dla niejasnych i ubogich wyrażen z cudzoziemska naśladowanych, jest to dobrowolne zarzucenie wygodnej, nawet bogatej odzieży, dla połatanych łachmanów.

Hołdując tej samej modzie francuzkiej, niektóre zakłady „arystokratyczne“ używają tylko samych imion, całkiem opuszczając nazwiska; mamy więc „Arturów“ „Adeliny“ i t. d. ale tem przynajmniej nie kaleczą języka.

Jak będziemy odmieniali przez przypadki powyższe modne „europejskie“ formy nazwisk kobiecych, zwłaszcza jeżeli są używane bez dodatków *pani* i *panna* i bez imion chrzestnych? Z temi bowiem dodatkami to jeszcze przypadkuje się przynajmniej choć pierwszy wyraz: *pani Bakalowicz*, z *panną Klochowicz*, *Wandzie Pawłowicz* i t. p. ale jak powiedzieć zamiast np. dawnych: *powiedz to Bakalowiczowej*, *spoglądam na Pawłowiczównę*, idę z *Zawiszanką*, stara się o *Bobrowiczównę*, należy do *Bochwicowej*, przygotowano dla *Jasiewiczówny* i t. d? Toć chyba trzeba mówić i pisać tak: powiedz to *Bakalowicz*, spoglądam na *Pawłowicz*, idę z *Zawiszą*, stara się o *Bobrowicz*, należy do *Bochwic*, przygotowano dla *Jasiewicz*. Istotnie też tak piszą i mówią, szczególnie na pensjach żeńskich, które (niech nam wolno będzie to przy tej sposobności powiedzieć) są dziś częstokroć skuteczną szkołą zepsucia języka. Ależ przecie owe formy nazwisk męskich, dla oznaczenia kobiet używane, nie są nieodmienne i jeżeli moda nie pozwala urabiać od nich form żeńskich, toż wolno je przypadkować, a więc chyba i o kobietach mówiąc trzeba powiedzieć: powiedz to *Bobrowiczowi* (płci żeńskiej), spoglądam na *Pawłowicza* (z trenem u sukni), idę z *Zawiszą* (którą radbym wziąć za dożgonną towarzyszkę), stara się o *Bobrowicza* (siostrę mego przyjaciela) i t. d. Drugi dziwoląg nielepszy od pierwszego, ale chyba nieco logiczniejszy. Albo oto np. słyszysz od damy „jestem Józefowicz“ i przypuścimy, że nie widzisz osoby, słyszysz tylko głos—nie wiesz więc, czy to mówi mężczyzna czy kobieta, chyba że osoba mówiąca doda swe imię: jestem „Marya Józefowicz“ a już najjaśniej będzie gdy powie: „jestem pani Józefowicz lub panna“, ale i to trochę dziwne, bo chociaż w naszych czasach stróż, lokaj i żebrak wpadają w gniew straszliwy, gdy kto nie mówi do nich: panie strózu, panie lokaju, panie żebraku (bo nawet za używanie zaimku *ty* można uleść karze); to jednak nie doszliśmy jeszcze do tego, ażebyśmy sami siebie tytułowali panami i paniami.

(d. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA, O UBIORACH.

1 Marca 1880.

W świecie mody jak zwykle między kończącą się zimą, a nie zaczęłą jeszcze wiosną, nastąpiła chwilowa stagnacja. Wielkie magazyny przygotowały jednak mnóstwo nowych przedmiotów, których wystawę urządzają z pojawieniem się marcowego słońca. Jakkolwiek nowości te ukrywane dotąd tajemnie, mieliśmy przecież sposobność posłyszeć o kilku świeżych pomysłach, co tu wiernie powtórzymy w dzisiejszem sprawozdaniu.

Kapelusze codzienne, do wyjścia na ulicę, najmodniejsze w tym roku, będą ze słomy kolorowej, w żywych barwach: szafirowej, morderowej (caroubier), śliwkowej, rozmarynowej, fioletkowej i t. p. Materia w odpowiednim kolorze; niekiedy broszowana w paski ma służyć do ubrania kapelusza, zarówno jak na szarfy. Popielate i szare kapelusze, przystrojone będą drobnymi makówkami (coquillet) i materią pasową.

Na suknie i kostiumy, przysposobiono wiele gładkich wełnianych tkanin, w różnych dzikich odcieniach: oliwkowym, dębowym, popielatym, migdało-

wym; do najnowszych należy kolor przypalonego sucharu, zwany *biscuit*.

Tkaniny tureckie do okładania gładkich sukien, będą jeszcze używane w tym roku, w deseniach tylko nastąpiła niejaka zmiana: widzieliśmy naprzykład atlas wełniany w paski przerabiany różnobarwnym jedwabiem. Gładki atlas wełniany na suknie i kostiumy stanowi pierwszą nowość tegoroczną. Ślicznie wygląda podobny atlas, zahaftowany jedwabiem w muszki dosyć znacznych rozmiarów, np. czarny w muszki pasowe, lub błękitne, brązowy w muszki koloru złotawego, popielaty w ciemno szafirowe lub fioletowe i t. d. Widzieliśmy lekki czarny kaszmir haftowany w muszki czarną sznelą, co bardzo pięknie wyglądało.

Przygotowano niemniej fulary na suknie w muszki rozmaitej wielkości: zielone na tle szarym, pasowe na czarnym, morderowe na popielatym, błękitne na ciemno szafirowym. Niekiedy muszka składa się z kilku żywych kolorów pomieszanych razem, taki rodzaj nazwano *pastille cachemirée*.

Wielkie kołnierzyki ciągle się utrzymują: do najświeższych należy kołnierz *Mazarini*, podcięty po bokach, nagarniowany czarną i białą koronką, spięty u szyi na kokardę.

Od czasu wielkiej zabawy na korzyść Murcyan, mantyle hiszpańskie ciągle się ukazują, czy to w teatrze, czy na obiedzie proszonym. Zupełną w nich nowość stanowi błędyna czarna przerabiana kolorami w rzucik z drobnych kwiatków: fiołków, bławatków, pączków róży, lub drobnych pasowych makówecek.

W wielkim magazynie *à la ville de Paris*, widzieliśmy kilka sukien przygotowanych na wyprawę, opiszemy je tu szczegółowo.

Suknia ślubna składała się z atlasu i brokatelli w wielki ciągniony desen. Spódniczka atlasowa miała dwa wolanty, szerokie przeszło na pół łokcia, układane w kontrafałdy w odstępach. Przez środek każdego kontrafałdu spadała gałązka z kwiatu pomarańczowego. Tunika z brokatelli, podpięta na przodzie, tworzyła po bokach festony, zakończone brzegiem frendzlą z pomarańczowych kwiatów. Tylne bryty tworzyły bardzo długą powłokę, objętą dwoma atlasowymi falbankami, mocno zaprasowanymi. Stanik do tego długi, zachodzący na biodra z bawetem tak z przodu jak i w tyle, spinał się na rząd atlasowych guzików. Z boku blisko ramienia wpięty był bukiet, dwa inne zdobiły brzeg rękawów zakończonych ruszką illuzjową. Takaż ruszka nagarniowana była u szyi. Do tejże sukni przygotowano drugi stanik wycięty, przeznaczony do wieczornego ubrania, gładki był zupełnie, na wykroju ogarniowany plisowaną krepą i wąską górlanką z pomarańczowych kwiatów, miejsce rękawów zastępowały dwie falbanki krepowe.

Inna strojna suknia składała się z gładkiej materii koloru *vin de Bordeaux* i z materii broszowanej w rzucik koloru złotego. Przód spódniczki w desen, miał u dołu szeroką falbanę, z gładkiej materii plisowanej. Od boków do tyłu spódnica gładka z bardzo długą powłoką, objęta była garnirunkiem (en coquille), z broszowanej materii. Stanik długi, z bawetem, zachodzący na biodra, otwarty z przodu, obłożony był plisą broszowaną. Z pod otworu wychodziła rzęsiszta nagarniowana koronka alanzońska. Rękawy sięgały po łokieć, kończyły je bogaty mankiet koronkowy.

Nie mniej ładna suknia fioletkowa z rączymoru—(radimir), miała spódniczkę, lekko powłoczystą, zakończoną u dołu plisowanym wolantem atlasowym. Przednie bryty, przemarszczone były w odstępach,

przepinane plisą atlasową, tylne zaś bryty tworzyły draperyę, upiętą bardzo zgręcznie. Stanik długi z baskiną, otwarty czworograniasto u szyi, od pasa odwinięty, podbity atlasem, spinał się tylko w środku na kilka małych guzików, oprócz tego, po bokach stanika naszyte były z każdej strony, cztery guzy, przytrzymujące zasnurowaną pletnię jedwabną, od której spadały długie końce z kwastami. Rękawy bardzo szczególne, składały się z czterech buf raczymorowych, i wielkiego mankietu. Między buffami szły kłapki atlasowe, zapięte z boku na wielki guzik.

Inna znów suknia składała się z kaszmiru indyjskiego, w blado złotawym kolorze, i z takiegoż samego fularu *Surrah*. Spódniczka kaszmirowa, ułożona była z przodu, w podłużne zaprasowane fałdy. Tylne bryty objęte fularową falbanką, tworzyły fantastyczne buffy. Stanik długi, rozarty z przodu, na fularowym plastronie, zasnurowany był pletnią, jedwabną; rękawy sięgające do łokcia, kończyły się wolantem fularowym. Poniżej stanu, otaczała suknię szeroka szarfa fularowa, spadająca w wielkich pękach, na bufowany tył spódniczki.

W rękawach dzisiejszych spostrzegamy wielką różnorodność. Jedne całe upięte w buffy, jak to wskazyaliśmy powyżej; inne mają znów jedną buffę u ramienia: inne wreszcie garnirują się w górze pięcioma lub sześcioma wązkimi falbankami. Do sukien strojniejszych, rękaw nie powinien przechodzić łokcia, garnirują go zazwyczaj koronką.

Krawatki do coraz szerszych przechodzą rozmiarów. Najmodniejsze z fularu *Surrah*, w blado złotawym odcieniu, mają pół metra szerokości. Zdobą je u dołu wstawka i wolancik z plisowanej koronki.

Moda złotych koronek coraz się bardziej upowszechnia. Niektóre z nich maczają w szafianie: te będą najmodniejsze w tym roku, na krawatki i kołnierzyki, równie jak do ubierania kapeluszy.

Zakończmy wreszcie opisem modnej okrywki wiosennej zwanej *mandarynką*: forma jej bardzo prosta. Jest to szeroki, paletot, sięgający do kolan, bez żadnego garnirunku, nie spięty na guziki. Całą ozdobę tej mandarynki stanowią bardzo długie rękawy zupełnie otwarte, przytwierdzone w tyle do boków, z przodu puszczone wolno. Ręka przeciąga się przez otwór przystońnięty rękawem. U szyi kołnierz wielki, wyłożony, nad nim przechodzi sznur jedwabny do wiązania, długi na dwa metry, z ogromnymi kwastami.

Widzieliśmy także okrywki z czarnego indyjskiego kaszmiru, podbite czarnym fulariem. Robią je także w ciemnych kolorach: tabaczkowym, oliwkowym, śliwkowym, ale w takim razie służą tylko do spódniczki z tegoż samego materiału, czarne zaś można nosić do wszystkich sukien.

Przyjaciela Dzieci Nr. 9 wyszedł z druku i zawiera:

Z Paryża do Pekinu (z drzew.). — Drzewa dla ubogich (wiersz). — Obrazki z przeszłości. — Opowiadania historyczne. — Rozmaitości. W Dodatku dla małych dzieci: Pawelek i Anulka (z drzeworytem). — Marynetki (wiersz). — Pan Maciej. — Zajac (z drzeworytem). — Ojciec nasz któryś jest w niebie. W Dodatku powieściowym: Zatrącony.

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.
Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. Ulica Chmielna Nr. 1530 (nowy 20).

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mół dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

VILLA HORTENSIA.

przez

Antonio Caccianiga.

Przekł6d z wloskiego

przez J. B.

(Ci6g dalszy).

— Co si6 z tob6 dzieje, Valentino? zapytał.

— Nic... to nic... małe kobiece cierpienia... silne bicie serca, duszenie... nieregularny puls... to nie! to nerwy... nie jest to choroba niebezpieczna... Ale wezwales mnie, czyś cierpi6cy?... moze odzywaj6 si6 skutki rany?

— Nie, jestem zdrow — starania twoje uleczyły mnie zupełnie.

— Nie moje starania ale sama natura ci6 uleczyła... masz nadzwyczaj silny organizm.

— Jednak przekonany jestem iż gdyby nie przyszła mi w pomoc twoja nauka i przyjacielska opieka, byłbym si6 wyni6sł na tamten swiat... Dziś, nie pomocy doktora ale pomocy i rady przyjaciela potrzebuj6

— Wiesz że zawsze liczyć mozesz na ni6.

— Powiedz mi szczerze, Valentino; co myślisz o mojej żonie?

Na to niespodziewane zapytanie, doktor wlepił w hrabiego wzrok rozpl6mieniony, i zapytał ponuro:

— O twojej żonie? wi6c odzyskales utracone prawo nazywania jej żon6?...

— Słuchaj mnie, Valentino; jesteśmy przyjaci6łmi od lat dziecinnych... nie l6gaj si6 być wyśmianym odkrywaj6 ci moje słabości... zakochałem si6 w mojej żonie... Ale Berta trzymaj6 si6 ściśle warunk6w owego zaproponowanego przezemnie przyjacielskiego rozvodu, okazuje mi ci6gle lodowat6 obojętność... prawie wstr6t najjawniejszy...

Na te słowa z6sepiona twarz doktora rozpogodziła si6, oczy zabłyśły jasnym, jak błyskawica przel6tnym swiatłem — ale Cipriano nie zauważył tego.

— Valentino radź mi co mam czynić? zapytał.

— Al tegoby tylko brakło, zawolał Valentino, abyś po tak niegodnej zdradzie i opuszczeniu, teraz gwałtem narzucał jej prawa swoje.

— Za kog6ż mnie masz! odrzekł hrabia wzruszaj6 ramionami. Obecnie pragnę tylko cho6by najl6jszej oznaki że zapomniała przeszłości... że ma nademn6 litość, dozwalaj6 mi spodziewać si6 w niedalekiej przyszłości przebaczenia i pojednania... prawdziwego dnia ślubu... bo teraz ja kocham j6... kocham szalenie!... Zadziwia ci6 to moje wyznanie?...

— Nie dziwi mnie bynajmniej — przeciwnie jest to dla mnie rzecz6 niepojęt6 jak mogles nie zakochać si6 w niej od pierwszej poznania chwili.

— C6ż chcesz! byłem opętany przez tę piekieln6 czarownic6... teraz dopiero, oprzytomniawszy, pojmuj6 prawdziw6 wartoć tak małżeństwa jak zwią-

k6w nieprawych... teraz czuj6 potrzeb6 utworzenia sobie rodzinnego życia i rodziny... i postanawiam być jak najlepszym m6żem.

Valentino słuchał w milczeniu; takoby w tej chwili bacznie wpatrzył si6 w twarz jego, wyczytałby z niej straszne, dr6cz6 go m6czarnie. Wewnętrzna burza odbijała si6 na zewn6trz, można było widzieć drganie mi6śni, bicie arteryi w skroniach i ponury blask ocz6w. Durch chciał zapanować nad materj6 — ale walka była straszna.

Hrabia całkiem sob6 zaj6ty, nie widział tego i mówił dalej:

„Berta odznacza si6 tego rodzaju pi6knośc6, co o nie uderza od pierwszego spojrzenia, ale powoli wnika do duszy i ogarnia j6 nieprzeparcie. Nie mówię juź o wielkich jej przymiotach moralnych i wysokim ukształceniu — bo te lepiej znasz ode mnie, ale w gł6bokim jej spojrzeniu widzę przejrzystość czystych fal jeziora, delikatne rysy jej twarzy s6 regularne jak profil grecki; cera świeża jak róža, a jasno-blond jej warkocze tworz6 jakby aureol6 opromieniaj6 gł6w6 świętej. Ta jej bladeć spowodowana wewn6trznym cierpieniem, pi6kniejsz6, powabniejsz6 j6 jeszcze czyni, dodaj6 do wrodzonej jej dystynkcyi jakiś rodzaj melancholicznej powagi, niewysłowionym otaczaj6 j6 urokiem.

— W jakimże celu silisz si6 na tak szczeg6łowy opis? przerwał Valentino.

— Aby ci dowieść że umiem ocenić moją żon6... i że pragnę aby została ni6 rzeczywicie.

— Biedna Berta! zawolał doktor wznosząc oczy w niebo:

— Jakto?... czemu mówisz „biedna Berta“?

— Dla tego że widzisz w niej to jedyn6 co ci6 zawsze poci6ga do kobiet — wdzi6ki powierzchowne, oddziaływaj6 na zmysły... co z biegiem lat znikn6ć musi. Przyjdzie dzień że zobaczysz jak6 pi6kniejsz6 od niej kobiet6, młodsza i ponętniejsz6 któr6 ci zawróci gł6w6, i zn6w żon6 opuścisz dla niej... i zn6w nowe zniewagi i nowe cierpienia stan6 si6 udziałem biednej Berty... Przychodz6 na swiat wszyscy mamy we krwi zar6d naszych skł6ności i usposobienia, i nikt nie zdol6 zmienić swej natury.

— Zawsze mnie straszysz złemi przepowiedni6mi... tym jednak razem mylisz si6 zupełnie... nie czuj6 si6 juź młodym: wiek sz6tu i zachcievek juź mi przemin6ł; postanawiam stać zmienić życie i postępowanie moje. Radź mi wi6c, przyjacielu, nucz, wskaź sposób jakim potrafi6 pozyskać serce mojej żony.

— Cipriano, podstaw6 prawdziwej mił6ści jest szacunek... czy zdaje ci si6 że umiales zastużyć sobie na niego?

— Zawsze tylko wyrzucasz mi przeszłość! Popchnięty fatalnośc6, dopuściłem si6 winy któr6j dziś gorzko żaluj6 i jak najgor6cej pragnę wynagrodzić... przysięgam że czynić b6dę co tylko w mocy mojej aby jej zapewnić szcz6ście.

— Berta nigdy juź nie b6dzie szcz6śliw6.

— Czemu?... szczeg6lniejsza myśl!

— Bo życie jej jest spaczone i złamane... los skazał j6 na ci6żk6 dol6... przyszłość stanie si6 dla niej jednym pasmem walk i cierpienia. Wierzaj

mi, Cipriano, nie jesteś juź jej godzien; zostaw j6 w spokoju... dość juź uczyniles j6 nieszcz6śliw6.

— Odmawiasz mi wi6c tej przyjacielskiej przysługi aby przemówić za mn6 do Berty, przedstawić jej m6j szczery żal i niezłomne moje postanowienie na przyszłość; dać jej poznać gor6c6 mił6ć moją dla niej, któr6 ożywiony błogosławić b6dę 6w dzień szcz6śliwy, w którym zapominaj6 przeszłości i oporu swego — przypomni sobie że jest moją żon6...

— Daruj, Cipriano, ale nie moğ6 si6 podj6ć podobnego zlecenia.

— Bardzo mi to przykro... musz6 wi6c szukać innego sposobu.

Rozmowa ich stała si6 kłopotliw6 i zimn6; mówili o rzeczach obojętnych, unikaj6 wzajemnie objawienia swych myśli, nareszcie Valentino powstał aby si6 pożegnać.

— Do widzenia, Valentino, dla czego tak rzadko si6 pokazujesz? spytał Cipriano.

— Mam licznych chorych.

— Widz6 że juź ani na przyjaźń ani na mił6ć liczyć nie moğ6.

— Znasz mnie dobrze, Cipriano, nie mozesz wi6c pow6tpiewać o przyjaźni mojej. Przyjaźń poczęta w dziecinnych latach jest tak nierozzerwaln6 jak najświ6tsze w6zły, jestem i zawsze pozostan6 jej wiernym, o tem powinienes być przekonany.

Pożegnali si6 uściśnieniem dłoni.

Opuściwszy pok6j Cipriana, Valentino min6ł korytarz i miał zejść po schodach, gdy w tem otworzyły si6 drzwi od pokoi Berty, i stan6ła przed nim blade i drż6ca.

„Chciałabym pomówić z tob6, Valentino... to juź nad siły moje... bardzo, bardzo jestem nieszcz6śliwa!... Ale co tobie? tak jesteś zmieniony... czyś cierpi6cy?

— Nie, nie mi nie jest... to tylko skutek pory roku... znużenia...

— O nie!... nie łudź mnie... wiem że cierpisz jak ja... Valentino, przestrah mnie ogarnia... nie opuszczaj mnie, potrzebuj6 twojej opieki... Co mam czynić... co uczynimy oboje?... mów, spełni6 co mi polecisz.

Valentino drżał jak listek... muskuły twarzy jego strasznie si6 ści6gnęły, oczy osłupiałe rzucały spojrzenia, włosy powstały na głowie... Zbiegł prędko ze schod6w jakby niewidzialn6 popychany sił6. Ona patrzyła na niego nieruchom6, blade, milcz6ca. Zszedłszy na d6ł, podni6sł gł6w6, wlepił w Bert6 przejmuj6ce spojrzenie, mówiac:

„Życie jest ofiar6 i poświęceniem... spełni6my nasz obowi6zek... Berto, bywaj mi zdrowa!...

I oddalił si6.

XVIII.

Cipriano oznajmił hrabinie że wyjeżdża na dwa dni, daj6 jej do zrozumienia, iż ma nadzieję że za powrotem znajdzie j6 wzgl6dniej sz6 i przychylniej sz6; poczem odjechał i stan6wszy w Mediolanie, natychmiast udał si6 do stryja.

Markiz przyjął go bardzo zimno i zapytał wyniośle o cel odwiedzin.

— Polecil mi stryj abyem przybył do Mediolanu, jestem posłuszny.

— Ja! zawolał zdziwiony starzec, ja miałbym pi-

sać abyś przyjechał, po owym twoim grubiańskim liście w którym oznajmiłeś mi abym się nie ważył mieszać do spraw twoich?... Doprawdy, chyba oszalałeś.

— Napisał mi stryj gdy był w Wenecji abym tu przybył, przyrzekając że sam zawieziesz mnie do villi i wyjednasz mi przebaczenie.

— Tego już nadto!... jest to może największy wybryk twego szaleństwa. Pisałem do ciebie w listopadzie roku zeszłego, obecnie mamy październik, tak więc rok prawie upłynął od owego listu na który tak ubliżając odebrałem odpowiedź. Przez jedenaście miesięcy wiodłeś rozpustne życie, teraz nagle zachciało ci się je zmienić, zapominasz więc przeszłości i uważasz za stosowne przypominać mi propozycję, którą w swoim czasie odrzuciłeś z szyderstwem i pogardą.

A nie mogąc zachować dłużej powagi i surowości z jaką wymówił te słowa, zniecierpliwiony spojrzawszy wyniosłe na siostrzeńca, założył ręce i zawołał:

— Idźże do wszystkich diabłów! niepoprawny szaleńcze, nie psuj mi krwi coraz nowymi wybrykami!

— Dobrze... moje uszanowanie... odchodzę... Myślałem jednak że poprawa nigdy nie jest niewczesną, i znudzony złem życiem, żałując za błędy moje, zerwałem naganne stosunki, upamiętałem się i postanowiłem powrócić na dobrą drogę... Obecnie ustatkowałem się, pragnę spokoju w domowym zaciszu, pragnę jak najlepiej żyć z żoną... Przychodzę do stryja prosić go o przebaczenie i oznajmić gotowość słuchania dobrych rad jego... i stryj odrzucił mnie, nie pozwalając nawet wypowiedzieć z czem przybywam, i nazywa szaleńcem... dobrze... rozumiem że i teraz zbłądziłem... idę więc sobie...

Wziął kapelusz i zwrócił się ku drzwiom, a biedny starzec żałując nieco swego uniesienia, zawołał:

— A żeby cię licha wzięło!... gadajże wyraźnie, skądże ci się wzięła ta nagła poprawa?... patrząc na ciebie obawiam się zawsze nowego jakiegoś szaleństwa.

— Jestże to szaleństwem że chcę się pojednać z wybraną mi przez stryja żoną, że oceniając jej rzadkie cnoty i przymioty, chcę błagać ją o przebaczenie przeszłości—ku której popchnęła mnie nieubłagana fatalność — i przysiąc jej najzupełniejszą poprawę... Postanowiłem sobie niezłomnie zmienić zupełnie postępowanie moje... ponieważ Berta tak mnie zachwyca i pociąga ku sobie iż pokochałem ją całym sercem.

— Biedna Berta!... jest to najczcigodniejsza kobieta... uwielbiam ją jak anioła... a ty śmiałeś taką wyrzucić jej zniewagę!

— Kochany stryju, namiętności oslepiają nas i odbierają rozum. Któż w młodości swej nie znalazłby jakiegoś czarnego punktu... ale to już minęło niezwrotnie... dziś czuję żem zawinił i żałuję za błędy moje.

— Al poznajesz nareszcie winy swojej chwalaż Bogu!... Nie byłeś godzien kobiety z tak wzniosłym charakterem, z takim zaparciem siebie!... Nigdy nie zapomnę odpowiedzi jakie dawała baronowi Montferrano. Nakłaniał ją do wytoczenia ci procesu o unieważnienie małżeństwa—ani słyszeć o tem nie chciała; ofiarował jej dom swój — odmówiła; a gdy nareszcie zapytał gdzie myśli zamieszkać, z królewską dumą podniosła głowę i odpowiedziała mu: „Alboż nie mam prawa tu pozostać? czyż nie jestem hrabiną de Castelbreno?... O! to kobieta godna uwielbienia!... Poddając się z rezygnacją ciężkiej doli swojej, zamknęła się w samotności, z pełną godności dumą oczekując przyszłości... Wiem

tylko o owym pojedynku twoim, o nic więcej pytać nie chciałem.

— Przywieziono mnie do villi bardzo ciężko ranego—i Berta zaraz otoczyła mnie troskliwą opieką, jakby najlepsza siostra; nie czyniąc mi żadnych wymówek ani zarzutów... i odpłaciłem jej za to czarną niewdzięcznością, opuszczając ją znowu... Ale mimo to już nie mogłem jej zapomnieć. Powróciłem do villi, rozpadła się załona wzrok mój zamięwająca, widziałem jasno, podziwiałem jej piękność tak przemawiającą do duszy, pokochałem ją... upadłem jej do nóg...

— I przebaczyła ci? zawołał markiz.

— I uciekła odemnie.

— Nie rozumiem cię...

— Teraz gdy ja tak ją kocham, nie chce uważać mnie za męża.

— Wybornie!... doskonale!... pysznie!... teraz skazuje cię ona na odpokutowanie win twoich — i dobrze robi, zasłużyłeś na taki odwet! Na ciebie teraz kolej wdychać i czekać!... bravo!... zwiększa to jeszcze mój podziw i uwielbienie dla Berty... al doprawdy, to niezwykła, zadziwiająca kobieta!...

— Ponieważ stryj skojarzyłeś nasz związek, liczę więc że nas pojednasz.

— Za prędko zapominasz że zabroniłeś mi mieszać się w sprawy twoje... Czy nie pamiętasz iż napisałeś mi żem za stary na dyplomata? i nazwawszy mnie niedołężnym starcem, śmiesz teraz przyzywać mojej pomocy?... doprawdy to za wiele zarozumienia ze strony człowieka utrzymującego że nieczyich rad nie potrzebuje. — I czegoż ty wymagasz odemnie? abym ci pomógł uwieść własną żonę? — trochę to za trudne zadanie. Wybrałem ci żonę piękną, miłą, dobrą, rozumną, której każdyby ci pozazdrościł — i w sam dzień ślubu bezprzykładną wyrzuciłeś jej z niewagi, czyniąc z niej ofiarę twych rozkiełzanych namiętności... Zniosła obrazę z odwagą i z godnością... ukrywała łzy wylewane w osamotnieniu... okazała ci współczucie w cierpieniu — i odpłaciła jej kary godną niewdzięcznością. Czuliła swoją wyższość i spokojnie oczekiwała chwili zemsty... nareszcie wpadła w jej sidła — cieszy mnie to niewymownie! Uwielbiam Bertę, całym sercem przyklaskuję jej tryumfowi, a ciebie nie żałuję bynajmniej... Dostałeś się w moc twej ofiary; ale o ileż to szczęśliwszy jesteś niż gdy ona była w twej mocy! Radowałoby mnie to niewymownie, gdyby ci stekrotnie odpłaciła za niegodziwość swoją, zacierałbym ręce patrząc na męki na jakie podołałoby jej się cię skazać... Myślę jednak że jest za nadto anielsko dobra aby nadużywać swej przewagi, i chętnie poradziłbym jej aby cię dręczyła bez litości, jak czysta dziewica depcząc węza będącego pod jej stopami.

Cipriano musiał do końca wysłuchać tej reprimandy; zrozumiał jak niewłaściwem było jego odwołanie się do stryja, którego miłość własną tak dotkliwie zadrasnął.

— Nie mogę zaprzeczyć że stryj ma zupełną słuszość; sam uznaję żem zasłużył na karę... dotąd byłem zawsze narwanym szaleńcem, obecnie postanowiłem być wzorowym mężem... Czy zawsze będzie mnie stryj odrzucał i wypędzał?...

— Najzupełniej zasługujesz na to!... Twoje względem mnie zachowanie się, musiało pozbawić cię mego przywiązania, — jednakowoż jeśli zdołasz przejednać Bertę, jeśli ona ci przebaczy a ty dotrzymasz swoich przyrzeczeń i wychowywać będziesz dzieci lepiej niż sam byłeś wychowany... oddając je zupełnie pod kierunek matki!... wtedy — ale tylko wtedy,

może zdołam zapomnieć wykroczeń twej młodości.

— Dobrze, ale tymczasem nie odmawiaj mi stryj swej łaski, abym mógł wejść na dobrą drogę. Wiadomo stryjowi że za miesiąc przypada rocznica naszego ślubu, — otóż pragnę aby dzień ten stał się początkiem naszego miodowego miesiąca. Zamierzam wydać w tym dniu wielki obiad w villa Hortensia i zaprosić całą rodzinę i najbliższych przyjaciół — czy raczysz stryj przyjąć udział w tej uczcie rodzinnej?

— Dobrze, przyjmuję zaproszenie, ale powiem Bercie żeby się ostro trzymała, i chyba niekiedy jakby przypadkiem spuszczała kroplę wody na twe spragnione usta.

— A więc mam przyrzeczenie stryja.

— Dobrze, ale nie zapominaj że do owego dnia nie wiedzieć nie chcę o tobie — ani o zamiarach twoich, gdyż wszelkie przyrzeczenia twoje nie budzą we mnie ufności... W oznaczonym dniu stawię się punktualnie, zobaczymy czy rzeczywiście chcesz nowe rozpocząć życie.

— Zastosuję się do rozkazów stryja, i mam nadzieję że widząc moją poprawę będziesz pobłażliwszym... przestaniesz być nieubłagany.

— To już od ciebie i postępowania twego zależeć będzie.

Pożegnawszy stryja, Cipriano udał się do pałacu Montferrano.

Z początku baronowa przyjęła go z podejrzliwą obojętnością, lecz łód topniał stopniowo, i zdawała się skłonniejsza do przebaczenia jego wykroczeń. Męczyła go swemi podstępami pytaniami, jak sędzia śledczy badający obwinionego; Cipriano opowiedział jej swoją historję; podobnie jak adwokat przed krótkami przedstawia przysięgłym sprawę schwytanego na uczynku złodzieja, — który nie mogąc zaprzeczyć zarzuconego winowajcy faktu, stara się o uznanie łagodzących okoliczności.

Koniec końcem baronowa okazała się nader pobłażliwą, i nawet była surowszą dla ofiary niż dla kata; ganiła upór i samowolność Berty, potępiając jej niestosowne postanowienie pozostania w domu męża, który zaraz po ślubie ją opuścił. Mówiła że przez śmieszny i niepojęty swój upór, Berta uczyniła nierozważnym małżeństwo które łatwo można było unieważnić, że postępowaniem swoim uchybiła prostej przyzwoitości i konwenansom towarzyskim, nie mogła jednak powstrzymać się aby nie powiedzieć hrabiemu:

— Ale i pan postąpiłeś sobie z niepojętą lekko-myślnością... trzebaż przecie było przynajmniej przeczekać miodowy miesiąc!

Cipriano daremnie starał się jej wytłumaczyć, że tymczasem ta druga byłaby nmarła.

Odpowiedziała mu na to:

— Il takie kobiety często tak kończą! a potem, gdzie pewność że byłaby umarła.

— Ależ zapewniał mnie o tem jeden z najpierwszych doktorów mediolańskich.

— Ba! to mi dopiero dowód! iluż to chorych uznanych za nieuleczonych, przechadza się najzdrowszych po Corso, a niejednego znów mianym przez doktorów za umarłego, został pochowany żywym.

„Zresztą, dodała, w każdym razie powinieneś pan być raczej dać jej umrzeć, bo nic temu nie byłoby winien, niż wywoływać taki skandal, gdyż w dobru towarzystwie przedewszystkiem należy unikać pozorów i rozgłosu; a zakończyła temi słowy:

„No, ale nie mówmy już o tem, wszystko będzie zapomniane, a choć Berta popełniła największą niedorzeczność, czekając na pana tak długo... przyby-

leś nareszcie — więc nie ma co mówić... będziecie szczęśliwi.

Hrabia Cipriano westchnął ciężko, i odpowiedział:

„Nie wiesz pani jeszcze o wszystkim... Czy mam opowiedzieć pani szczególniejsze usposobienie Berty.

— Opowiedz, hrabio; nie mnie nie zadziwi co tylko o inosi się do tej postrzelonej Berty.

— Oż Berta która rok blisko czekała na mnie gdy byłem jej niewiernym, dziś gdy powróciłem wolny, załujący i zakochany w niej — nie chce na mnie patrzeć i odpycha mnie z pogardliwą dumą!

— Ach! jak to zgodne z jej naturą... poznaję ją... poznaję... jest ona uosobieniem przeciwności... Ale cóż chcesz, hrabio, każdy ma swój właściwy charakter... Berta długo tolerowała twoje zbożenie... teraz powinnaś znosić znów jej kaprysy... małżeństwo tylko na mocy wzajemnych ustępstw istnieje może. Uzbój się w cierpliwość, panie hrabio.

— Jakto? więc żądasz pani abym żył z żoną jak brat z siostrą?

— Tego nie mówię... radzę tylko nie być zbyt natrętnym... Zapewnie Berta chce stałość pana wystawić na próbę, aby nie narazić się na nowe opuszczenie... Bądź dla niej jak najuprzejmiej, otaczaj najdelikatniejszymi względami...

— Ależ już od miesiąca zachowuje się względem niej jak szalenie zakochany student... Wpatruję się w nią jak w cudowny obraz, wdycham, jestem nadzwyczaj uległy, okazuję głęboki żal za przeszłość... i pomimo że jestem szalenie zakochany, dotąd nie zdołałem uprosić nawet promyka nadziei.

— Ach! hrabio, widać tylko nieprawe względy pozyskiwać umiesz... za to ucieka od ciebie co byś posiadać miał prawo... Powtarzam, trzeba być cierpliwym.

— Umiałbym być cierpliwym, gdyby tylko nie okazywała mi tak lodowatej obojętności.

— Al! rozumiem, przez to i pan obojętniejesz.

— Przeciwnie, śmiej się, pani baronowo, ale jestem szalenie zakochany.

— Tem lepiej! w takim razie nie ma nic straconego: jest to po prostu zemsta kobieca, nie więcej!

— Chcę jeszcze uciec się do ostatniego środka którym może zdołam ją przebłagać. Pragnę dać jej do zrozumienia, że rocznica naszego ślubu powinna położyć kres jej wahaniom i obojętności... i dla tego dzień ten będzie uroczystością obchodzoną w villi, i mam nadzieję że pani i pan baron raczyście zaszczyścić mnie swą obecnością. Pragnąłbym szczerze zupełnego pojednania z całą rodziną... Strój przyjął moje zaproszenie.

— A więc i my nie odmówimy — nie można nie przyłożyć ręki do dobrego uczynku. Przykrość nam sprawa zerwanie stosunków z Bertą, i nie wypada aby tak dłużej było... chętnie znów przycisnę ją do serca.

— Mam nadzieję że Berta zechce przyczynić się do tego zamiaru i że zgoda będzie przywróconą. Lecz jeśli nie przestanie mnie odpychać, jeśli nie zmieni szczególniejszego swego postępowania, cóż pani baronowa pomyśli o tem?

— Jest to pytanie trochę drażliwe.

— Proszę najusilniej, powiedz pani szczerze co myślisz.

— Diavolo! w takim razie musiałabym myśleć że podczas gdy hrabia uganiał się po za domem za nieprawami miłostkami — ktoś korzystał ze sposobności...

— Tłumacz się pani jaśniej... może masz jakie podejrzenia... jakieś poszlaki albo dowody?

— O! nic pewnego; gadanina złych języków... ale wiesz, hrabio, że nie lubię rozsiewać plotek... Czy dobrze zbadałeś ową historię o tym Angliku?

— Jestem najzupełniej przekonany że w tem nie było ani cienia prawdy — prosty romans garderobianej.

— Tem lepiej, nie mówmy więc o tem — przekonasz się hrabio że wszystko się dobrze skończy.

— A jeśli te nadzieje zawiodą?

— To widać musiałaby zachodzić jakaś inna, nieznaną nam przeszkoda.

— Jakże pani sądzi? jakiegoż mogłaby być rodzaju?

— Tego nie wiem... ale wierzę mi, kochany hrabio, jeśli żona uporczywie odpycha męża, nie jest to nigdy bez przyczyny.

— Ale jakże może być ta przyczyna? zapytał zniecierpliwiony.

— I to pan, człowiek tak doświadczony zadajesz mi podobne pytanie?... Chcesz koniecznie abym mówiła bez ogródki — niech i tak będzie. Więc mówię wyraźnie: jeśli żona unika męża, to znaczy że inna namiętność zbudziła się w jej sercu. Wszak sam pan wiesz o tem?

— Tak, ale w tym razie nie mogło mi to przyjść do głowy, skoro jak powiedziałam pani baronowej owa historia o Angliku jest najniedorzeczniejszą plotką...

— Więc jest jakiś inny pretendent?

— Ktoby mógł nim być skoro nie ulega wątpliwości że od czasu przybycia do villi, Berta nie przyjuje nikogo.

— Panie, zmiłuj się!... nikogo! nikogo!... Zastanów się pan ty lko... jestże to możebnem żeby Berta przez rok blisko nie widziała żywej duszy, i do nikogo ust nie otworzyła?... Czyż nigdy nie wzywała doktora lub choćby aptekarza?

— Zapominasz pani że doktorem jest tam Valentino, mój przyjaciel od lat dziecinnych, prawie brat mój... Przedstawiłem go pani baronowej... jest to doktor Valentino Gabrielli.

— Al! przypominam sobie; ten jegomość niezgrabny co obala krzesła i stoliki. No, czyż to nie mężczyzna?... Co prawda, gdyby Berta miała moje usposobienie... prędzej śmierć! — ale ona zawsze miała zupełnie sprzeczne z moimi upodobania.

— O! co do Valentino, głową moją ręczyłbym za jego niewinność; powtarzam pani że kochamy się jak bracia... O! jest to brylant czystej wody!

— A więc to on niezawodnie! i ja także głowę dałabym w zastaw.

— Powtarzam pani że to jest niepodobieństwem. Pani baronowa nie zna idealnej prawości i szlachetności tego człowieka.

— Widzę że stałeś się pan już mężem — zupełnie takim jak inni. Jakto! po tylu podróżach i wszechstronnem doświadczeniu, nie znasz pan jeszcze ludzi? ani mężczyzn ani kobiet — ani mężów ani ich przyjaciół?... W takich razach, kochany hrabio — a byłam pewną że lepiej odemnie wiesz o tem — w takich razach, powtarzam, zawsze właśnie niepodobieństwo staje się prawdą... Czy Berta często widuje tego twego Valentino?

— No, tak... bywał bardzo często w villi, ale od pewnego czasu odwiedziny jego bywają coraz rzadsze.

— Rzecz prosta — hrabia wrócił — ale przed tem?

— Spędzał z nią po kilka godzin aby ją nieco

rozerwać, a to przez przyjaźń dla mnie... pocziwy chłopak, on to ocalił mi życie.

— Może chciał tym sposobem wynagrodzić cię hrabio, za to co ci odebrał.

— Powtarzam pani, że przysięgałbym za niego...

— A ja przysięgam że to on... samo zaślepienie pana utwierdza mnie w tem przekonaniu. A to mi naiwność! nigdy nie byłabym myślała że hrabia więcej jeszcze jesteś mężem niż wszyscy zazwyczaj mężowie — pomimo że nie jesteś nim jeszcze.

— Dajmy pokój żartom, a posłuchaj mnie, baronowo. Gdyby to mogło być prawdą gdyby Valentino mnie zdradził, w łeb bym sobie wypili... byłby to cios tak straszny, iż i godziny przeżyłbym go nie chciał — życie stałoby mi się nieznosnym ciężarem!

— Nie masz pan hrabia słuszności... powinienś przecie wiedzieć o tem że namiętności są ślepe, że przyjaciele... ot, lepiej nie leczyć na nich. Ale do prawdy szczególniejszy z pana człowiek! Porzucasz piękną i młodą żonę i uciekasz z jakąś awanturką — i zostawiasz nieszczęśliwą samą, jakby na pustyni... Rzecz prosta że zjawia się ktoś który dotrzymuje jej towarzystwa, ubolewa nad nią — i pociesza. No, jeśli ci się to wydaje czemś nadzwyczajnem, to pozwól sobie powiedzieć, kochany hrabio Cipriano, że wszyscy w świecie, z wyjątkiem męża — uznaliby to zupełnie naturalnem i logicznem.

— Tak, z pozoru zakrawa to na prawdę — ale powtarzam, nie znasz pani Valentino Gabrielli, ja zaś znam go gruntownie i umiem ocenić. Co więcej, od chwili mego powrotu nakłania mnie nieustannie do pojęcia z żoną, uważając to za jedynie możliwe rozwiązanie naszego położenia. Jest to mój najlepszy, najszlachetniejszy, najwierniejszy przyjaciel — i bez najmniejszego dla mnie niebezpieczeństwa może być przyjacielem Berty... Ale jakże to być może, abyś pani wierząca w tyle rzeczy nie do wierzenia, nie wierzyła w przyjaźń?

— Wierzę najzupełniej w przyjaźń — dopóki gwałtowniejsza namiętność nie stanie jej w poprzek. Wierzę w połączenie się dwóch gałęzi na jednym drzewie, dopóki uragan ich nie złamie — a jeśli uragan potężniejszym jest od drzewa, to też i miłość silniejszą jest od przyjaźni. Wierzę tedy nieograniczenie w przyjaźń dwóch mężczyzn, ale nie wierzę w czystą przyjaźń kobiety z mężczyzną, a tem mniej jeśli mężczyzna ten jest wolnym, kobieta opuszczoną, a miejscem widywania się bezładna villa.

— Dobrze więc, zgodnie z podejrzeniami pani, możnaby jeszcze dopuścić miłość, nawet namiętność, nareszcie nawet upadek — ale znam dobrze Valentino... gdyby zawinił nie śmiałby nigdy pokazać mi się i śmiało spojrzeć w oczy; nie oczekiwałby mnie z zimną krwią... byłby uciekł!

— Ależ nie mógł uciec, skoro tak niespodziewanie przybył hrabia do villi, a jeśli nawet przyjaciel ów jest zdolny do największych ofiar, to pierwszym jest jego obowiązkiem poświęcić się dla ukochanej i kochającej go kobiety... W rzeczywistym życiu nie ucieka się z kochanką jak w dramatach; trzeba urządzić interes, porobić pewne rozporządzenia, nie można tak od razu usunąć wszelkich przeszkód. Aby urzeczywistnić taki zamiar, potrzeba czasu na pewne przygotowania; kobieta nie może wylecieć z domu jak jaskółka z gniazda, doktor znany i poważany w okolicy, nie może porzucić jej w parę godzin... Zastanów się nad tem poważnie, kochany hrabio, nie bądź się, nie trć daremnie czasu: mogłoby być bardzo iż podczas gdy zajmował się będziesz przygotowaniami do uroczy-

stego obchodu rocznicy waszego ślubu... oni mogliby uciec gdzieś po za Alpy.

Cipriano zerwał się tak nagle, że aż przestraszył baronową; poddanie mu tej szalonej myśli o ucieczce, wywarło tak piorunujący skutek. Jak błyskawica przesunął mu się przed oczami widok uciekających, którzy skorzystali z jego nieobecności aby uciec gdzieś daleko; przebiegł go dreszcz przerażenia; ujrzał się na raz zdradzonym przez żonę i przez przyjaciela... i pomyślał z przestachem o następstwach nowego tego skandalu, o szyderstwach i urąganiu świata, o rozpiętrzonych nadziejach swoich i szczęściu zniweczonym na zawsze.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, baronowa rzekła:

„Nie trwoźmy się zbytecznie — może niepotrzebnie; ja może przesadziłam niebezpieczeństwo, a pan niepotrzebnie takim zaraz unosisz się gniewem. Uspokój się hrabio, wszak są to tylko proste przypuszczenia, nic więcej.

Ale ciós był zadany, i Cipriano zapragnął mieć skrzydła aby co prędzej dostać się do villi Hortensia; pożegnał baronową, mówiąc stłumionym głosem:

„Ugodziłaś mnie pani w serce jakby sztyletem... przecucie jakieś mówi mi że masz słusność... Jadę natychmiast, i biada im! jeśli ich nie zastanę w Brianza.

— Uspokój się, hrabio Cipriano, płomień bucha z twoich oczu.

— Do widzenia — albo żegnam na wieki!...

I wybiegł z salonu nadzwyczaj silnem miotany wzruszeniem. Baronowa postąpiła za nim kilka kroków, wołając:

„A pisz do mnie hrabio... lub lepiej wyślej do mnie telegram jak tylko staniesz na miejscu... do widzenia!

Nie nie słyszał; przeskakując po kilka kroków szeptał urywane jakieś wyrazy, machał rękami jak szalony. Wyszedłszy na ulicę biegł jakby zbiedzien uciekający przed ścigającą go sprawiedliwością.

Wróciwszy z giełdy, baron zastał żonę w niezwykłym usposobieniu: nie ochłonęła jeszcze z przestachu wywołanego odwiedzinami Cipriana, i mocno była zaniepokojoną przyszłością Berty. Opowiadała mu słyszane od hrabiego szczegóły i wyjawiała swoje domysły.

„Nowe zagrażają nieszczęścia... może nawet ucieczka!

— Al tegoby tylko brakowało!... odpowiedział.

— Przebóg!... jeśli nowy wyniknie skandal... nowa skaza na naszej herbowej tarczy... co na to powie cały Mediolan?

— A nie dość na tem, wynikną jeszcze procesa, likwidacye, rujnujące koszty sądowe, tyle marnie straconych pieniędzy! — westchnął baron.

Podczas gdy baronowa kłopotowała się opinią publiczną, a baron przewidywał straty pieniężne, hrabia Cipriano pędził jak wiatr czterokonnym powozem drogą ku Brianza, dręczony straszną obawą że jak już Sarę tak obecnie utraci Bertę. W miarę zbliżania się do villi, serce jego biło coraz gwałtowniej, a gdy nareszcie dojechał do bramy kraty park otaczającej, wybiegli naprzeciw niemu służący zobaczyli z niemałym zdziwieniem konie spienione, zgrzane niesłychanie.

Berta stała w oknie słuchając niespokojna nagłego turkotu pędzącego powozu, — obawiała się usłyszeć jakieś przerażające wieści. Zobaczywszy że to hrabia przybywa w tak niezwykły sposób — gdyż zazwyczaj bardzo ochraniał koni — utwier-

dziła się w powziętem mniemaniu i zapytała przez okno czy się wydarzyło jakieś nieszczęście.

— Zejdź, proszę do salonu, zaraz dowiesz się o wszystkim, odpowiedział.

Zeszła mocno zaniepokojona, hrabia wszedł za nią do salonu, i rzekł zamykając drzwi za sobą:

— Od ciebie zależy czy to będzie szczęściem czy nieszczęściem... Za dwadzieścia dni wypada rocznica naszego ślubu — postanowiłem obchodzić ją uroczystie.

— Zdaje mi się że to nie warto, rzekła chłodno.

Cipriano udał że nie słyszy, i mówił dalej:

„Wymażę z mego życia bolesny rok upłyniony... i postanawiam być nadal przywiązany i wiernym mężem.

— I to dla objawienia mi tego postanowienia ryzykowałeś hrabia życie czterech koni?... przyznaj sam że to nowe dziwactwo.

— Po dwudniowej nieobecności, pragnąłem zobaczyć cię jak najprędzej... straszną myśl zrodziła się w moim umyśle... zdawało mi się że zagrożą ci jakieś wielkie niebezpieczeństwo... obawiałem się utracić ciebie... a nie przeżyłbym tego, boleść by mnie zabiła... Ach! czemu patrzysz na mnie z tak bolesnym niedowierzaniem... przysięgam ci Berto, że jestem szczerym... gorzko żałuję za przeszłość, i teraz gdy poznałem cię i nauczyłem cenić, chciałbym krwią własną zmyć winę moją, bo kocham cię z całej duszy, — jak nigdy nie kochałem nikogo... Porzuć tę surową minę pełną sarkazmu i pogardy, bo, wierząc mi, obecnie nie jej nie usprawiedliwia... Odpychałaś mnie dotąd nielitościwie... znośłem to z poddaniem, uważając i przyjmując jako karę za służoną — ale spodziewam się że nie zechcesz skazywać mnie dłużej na tak straszne męki... oddasz mi tę sprawiedliwość że nigdy nie przypominałem ci praw moich; że nie nadużywałem mego położenia, pojmując dobrze iż przedewszystkiem powinienem wyjednać sobie twoje przebaczenie... Czy długo jeszcze odmawiać mi go będziesz?...

To powiedziawszy ukląkł przed Bertą, i rzekł że łzami w oczach, składając ręce:

„Berto, błagam cię, zaklinam na wszystko co masz naidroźszego, na świętą pamięć twej matki naznacz mi jaką chcesz pokutę... ale nie odmawiaj mi już dłużej swego przebaczenia... przez litość, powiedz że mi przebaczasz!

— O! tak, przebaczam ci, odrzekła zimno, bo poznaję że bywają w życiu prądy nieprzeparte, w obec których siła ludzka jest niczem; bo trzeba mieć litość nad tymi co upadli...

— Dzięki! dzięki ci, Berto... potrafię zasłużyć na twój szacunek!

— Lecz jeśli mogę i powinnam przebaczyć, dodała, niepodobna mi oddać ci serca i miłości mojej — już za późno!... przez własną winę, straciłeś je na zawsze... O! nie można bezkarnie złamać serca kobiety!... Wszak sam zwolniłeś mnie z wszelkich łączących nas węzłów, od wszelkich względem ciebie obowiązków; dziś więc nie masz już prawa powoływać się na to co sam odtrąciłeś, i jeśli rzeczywiście rządysz się prawem honoru... nie złamiesz danego słowa!...

Hrabia zerwał się nagle; rzucił na żonę piorunujące spojrzenie, i wysiłkiem woli poskramiając wrzającą w nim burzę; zawołał:

„Berto, zastanów się nad tem co mówisz... nie nadużywaj mej rezygnacyi... Jeśli w chwili szaleństwa uczyniłem niedorzeczne ustępstwo, mogę je cofnąć i cofam — żadne słowo honoru nie znosi i nie zmienia prawa... zrzeczenie moje żadnej też nie ma war-

tości... Było one następstwem opłakanego zaślepienia nad którym gorzko ubolewam — wyznaję winę moją a powracam do praw cywilnych, uświęconych prawem kościoła... Wszak nie możesz zaprzeczyć że dobrowolnie zostałam żoną moją... Miłość moja nie pozwala mi uciec się do przymusu... ale ty, Berto, zapominasz twoich obowiązków...

— Pogwałciłeś najistotniejszą zasadę i warunek małżeństwa — wierność; odwołuję się do wszystkich uczciwych ludzi i do boskiej sprawiedliwości... Obecnie nie masz żadnych praw nademną... ja żadnych względem ciebie obowiązków...

— Więc dla czegoż pozostałaś w villi?

— Przyznaję że pod tym względem zbłądziłam — rzeczywiście powinna byłam odejść gdy stryj twój i baron przyjechali mnie zabrać. Niedostawiona, nie przewidywałam przyszłości; nosiłam już twoje nazwisko; zdawało mi się że nie powinnam za zniwagę odpłacać zniwagą; chciałam uniknąć skandalu, przełożyłam więc osamotnienie nad szyderstwo świata, życie odosobnione nad przykrości towarzyskie, oczekujące mnie w pałacu Montferrano. Chciałam płakać samotnie, modlić się w milczeniu, ta cicha samotnia była najodpowiedniejszą dla moich łez i boleści... A! gdybym mogła była przewidzieć przyszłość — byłabym najniezawodniej odejechała!...

— Ale po powtórnem oddaleniu się mojem, pozostałaś tu, pomimo że sam radziłem ci abyś opuściła villę — cóż było tego powodem?

— Małżeństwo wyzwało mnie z pod opieki niezdolnej kobiety, twoje opuszczenie i dane słowo wyzwało mnie od małżeństwa... i sądziłam się wolną. I korzystając z tej wolności ukrywałam się tu nadal przed światem, który żadnego nie miał już dla mnie powabu — a zawsze obawiałam się w nim plotek, interesowanego współczucia i natrętnych pytań płochych kobiet i próżniaków. Nic tedy nie skłaniało mnie do opuszczenia mej samotni; przeciwnie, ciche to ustronie pociągało mnie ku sobie... samotność i przyroda mogły stać się wielką pociechą dla dusz zboliałych. Ta cisza kołał smutek mego złamanego serca; ta piękna przyroda wzniosłemi słowami przemawiała do mnie i odpowiadała wyborze memu usposobieniu. Tu życie wydawało mi się znośniejszym... śmierć słodsza... a tak często błagałam o nią, Boga miłosierdzia!... Czegoż mogę spodziewać się od świata... po co żyć na nim?... Tak ciężko zranione serce moje wzdycha i tęskni za świętem uczuciem, a czuję ciężkie kajdany bezlitośnie przykuwające mnie do okrutnego losu i przeznaczenia mego!

— Berto, więc kochasz innego! Opór twój i odtrącanie mego przywiązania są więc następstwem błędu!... A! i ty złamałaś zaprzysiężoną wiarę... i ty także jesteś ofiarą tych zgubnych namiętności niewieczących szczęście ludzkie... targających najświętsze węzły... nie szanujących nawet najdawniejszej najwierniejszej przyjaźni... Podejrzenie to budziło się w moim umyśle... i odpychałem je jako niemożliwe... Daremnie! zagadka jest rozwiązana... przyjaciół lat dziecinnych staną między nami — on to nas dzieli!...

(d. c. n.)

Opis do N. 9.

(Dokończenie).

Na r. 10
z oznaczeniem
kol. r. 10
co zmięty zoną formę
k. 10
winna mieć w gorze
16 cent. szeroki, a
33 środkowej długo-
ści.



N. 1—2. Naszyjnik i bransoleta

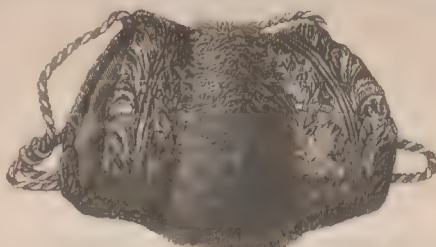
kowy w kolorach białej przykrywa przyczepienie lambrekiny, sute kwasty zdobią rogi i brzegi kwaterek.



N. 22—25. Zarzutka wenecka na głowę. Robota sztylce.

Wenecką zarzutkę robi się z miękkiej włóczki białej lub kolorowej, zaczawszy na o. 6 łut. zrobi najpierw trzeba małą trójkątną chusteczkę, dając na przemian 1 s. i 2 o. pow. W pierwszym obrobie mieć będziemy słup. 4

N. 9. Mufta z tureckiej deseniowej materii i futra lub piór, odpowiednia do ryc. 7—8 w N-rze 9.



N. 11. Stanik z długim stanikiem i szpilki do głowy.

Następnie trójkąta ma być obrócony do cz. 10, a dla uwzględnienia wskazanej czapeczki na ryc. 24 i 25, obrabia się takowy do długości 12 rzędów, bez przybie-rania razy 7 s. przedzielanymi 2 o. pow. Jak to widzimy zarzutka ozdobiona jest rozetkami i kwastkami włóczkowymi które w części dodają się zaraz w robocie, w części przyrabiają następnie, spuszczone na sznurczkach sztylce. Na główce dorabiają się od razu sposobem wskazanym na r. 22, w koło brzegów zaś przyrobione są do torsadki oddzielnie robionej na widelkach, podług



N. 11. Stanik z długim stanikiem i szpilki do głowy. Krój kołnierza na arkuszu Nr XVI, Fig. 58—59.

N. 10. Suknia z paletotowym stanikiem. Patrz Fig. 61.

licząc w to pierwszy z 2 o. pow; w następnych rzędach s. mijają się powinny na początku więc i na końcu rzędu przydaje się 2 o. pow. i 1 s. oprócz których przybiera się



N. 12. Kokarda z czarnej materii z turecką koronką. Patrz ryc. 63—64 i Fig. 62.

jeszcze w ciągu roboty w porządku poniżej wskazanym. W rzędzie 2 gim 1 słu; w 6 i 8 po 2 s. w 10 4 w 14-ym



N. 14. Suknia ze strojnie przybraną spódnicą. Patrz Fig. 60.

N. 15. Suknia z bawetowym stanikiem.

N. 16. Suknia princessa podpięta a panier.

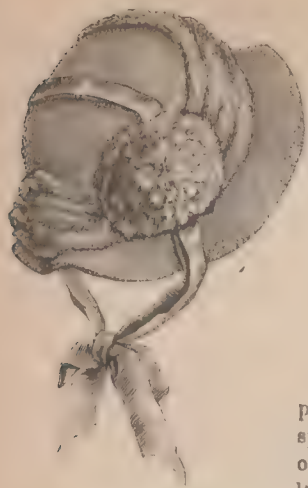
N. 17. Suknia z długim stanikiem i ubieraną spódnicą.

próbki rycina 21b. Torsadka ze spuszczonej kwastkami, naszyta jest jeszcze 3 razy w równych odstępach na części zarzutki stanowiącej karczek; rozetki przyrabbiane są w 3 rzędy na-



N. 13. Kokarda z kolorowej materii ozryta frendzlą.

przemian w odstępie 3 słup. W ostatni rząd obróbie nia stanowiącego czołko, nawłóczy się tasiemkę elastyczną oprócz której ko-



N. 18. Kapelusz biały filcowy dla dziewczynki. Patrz ryc. 19.

karda z wstążki 4 cent. szerokiej zbiera zbywające fałdki do tyłu, a dużą szpilką przypina się jeszcze zarzutkę do włosów.

N. 26—30. Ubrania domowe.

N. 19—26. Suknia z tuniką krótką i stanikiem z bawetową baskiną.

Model odrobiony z ciemno popielatej materii jedwabnej; spódniczka niedotykająca ziemi, oszyta szerokim faldowanym wolantem z nagłówkiem, przepinanym w odstępach kokardami z 8 cent szerokiej aksamitki pawiego koloru. Krótka tunika oszyta jedwabną frendzlą, jest z bo-



N. 20. Serwetka z wyszyciem i kratką ażurową. Patrz ryc. 40 i Fig. 63.



N. 21—22. Paletocik dla dziecka lat 2—4. Krój na ark. Nr III, Fig. 13—19.

N. 29. Ubranie z długą spódniczką tuniką i bluzkowym, skośnie zapinanym stanikiem.

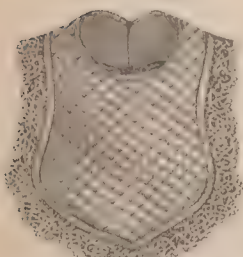
Odrobione z wełnianego mienionego materiału. Tunika z boków i a tyłu w fałdy podpięta, oszyta 6 cent. szerokiemi, jedna na drugą zachodzącymi plisami, odpowiedni garnirunek na staniku, jednym końcem podchodzi pod plisowany pasek, zapięty z boku rozetą. Z końcami nakształt szarf.

N. 30. Ubranie z paletocikowym vêtement. dla małej dziewczynki.

Sklada się z wełnianej w ko-



N. 19. Kapelusz biały filcowy. Patrz ryc. 18.



N. 23. Napiersnik zakończony koronką. Krój i deseń na ark. Nr. XIV, Fig. 56.



N. 25. Sukieneczka flanelowa formą princesse. Krój Nr IV.



N. 27. Koszulka bez rękawów. Krój na arkuszu Nr XI, Fig. 51—52.



N. 31—32. Serwetki dla dzieci ozdobione wyszyciem krzyżykowym. Patrz Fig. 30—31k.



N. 26. Spódniczka flanelowa z faldowanym stanikiem.



N. 24. Napiersnik zdobny nicianą koronką. Krój na ark. Nr XV Fig. 57.



N. 28. Koszulka z długimi rękawami. Krój na arkuszu Nr XII, Fig. 53—54.

ków sfaldowana, z tyłu zręcznie podpięta.

N. 29. Kaftaneczek włóczkowy dla małego dziecka.

N. 28. Suknia ze stanikiem bluzkowym.

Model odrobiony z wełnianego piaskowego materiału, i z materii takiegoż koloru; z tej ostatniej dane przemarszczane bufki i podwójny nagłówek nad wolantem 10 cent. szerokim, przemarszczane ubranie na spódnicy, 25 cent. długie a u dołu 20 cent. szerokie i 15 cent. szerokie przez środek draperyi, oraz pasek mankiety i ubranie stanika. Draperya oszyta frendzlą jedwabną.

N. 33. Powijak szydełkowy.



N. 30. Majteczki dla małego dziecka. Krój na arkuszu Nr XII Fig. 55.

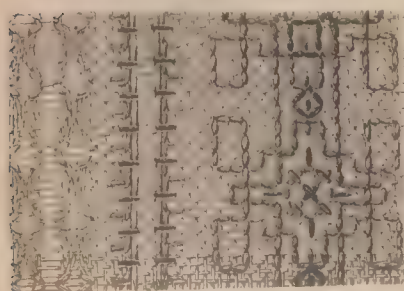
Do faldowanej spódniczki, przestębnowanej parę razy i udołu oszytej od spodu plisowaniem, i z faldowanej bluzki przepasanej aksamitnym paskiem. Do wyjścia dodaje się aksamitne vêtement formą paltocikową, oszyte białą koronką.



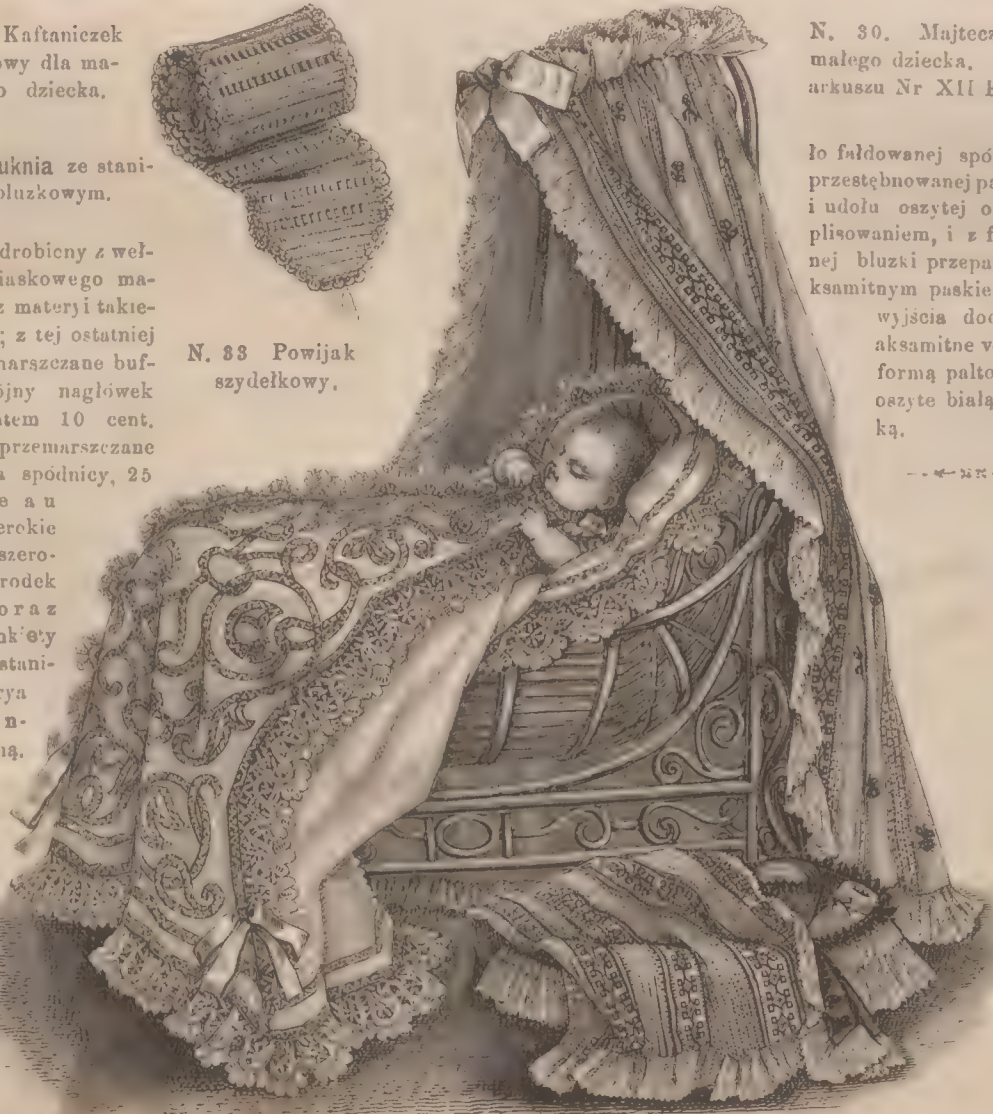
N. 39. Ubranie z kaftanikiem bez rękawów. Plecy do ryc. 38. Krój na arkuszu Nr IX, Fig. 42—47.



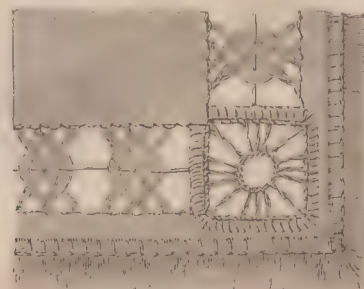
N. 38. Ubranie z kaftanikiem bez rękawów dla panienki lat 10—12. Patrz ryc. 39 i ryc. 2 w N. 9.



N. 37. Wzór wyszycia do r. 35—36.



N. 34—36. Sukieneczka do chrztu, kolebka z firanką i kosz na bieliznę dla dziecka. Patrz ryc. 37. Deseń i krój sukienki na arkuszu Nr X, Fig. 48—50b.



N. 40. Kratka ażurowa do ryc. 20.

dwukropka części fałdowane, z każdej strony ułożone od miennie. Fig. 58 wskazuje formę podszewki ze sztywnego tiulu czy muszliny, na której układa się fałdowanie ze skosu 16 cent, szerokiego. Prawa połowa jest trochę dłuższa i zaokrąglona, lewa zachodząca pod spód jest krótsza, jak to widać na ryc. 11. Plisowanie 3 cent, szerokie zakończa brzozi; kokarda z wstążki przypięta różą.



N. 58. Uczesanie ozdobione szpilkami.

N. 12—63 i 64. Kokarda z czarnego materiału „Suzani” z turecką koronką. Deseń koronki patrz Fig. 62.

Fig. 62 wskazuje deseń palm wyszytych kolorowymi jedwabiami na tle z czarnego tiulu; takie koronki w guście tureckim można wywodzić ręcznie lub też kupić fabryczne. Rycina 63—64 wskazuje dwie próbki wyszycia jedwabiem lub pelą, układ zabotu wskazuje ryc. 2, agrałka i grełotki brzegiem koronki z perełek clair de lune.

N. 13. Kokarda z kolorowej materii zakończona frendzelą.

Kokarda z jasnej materii składa się z dwóch pukli



N. 59. Upięcie paki do ryc. 60.

tymetrów szarokiem. U dołu przodu i brytów bocznych przerzucona fartuszkowa draperya z prostego aksamitnego brytu zaokrąglonego u dołu, z boków z branego w fałdy a górnym brzegiem zachodzącego pod panier repsowe. Na upięcie na trenie sukni, widoczne na Fig. 60, potrzeba dwóch prostych aksamitnych brytów, po 165 cent, długich, z boków przez założenie fałd skróconych do 71 cent, długości. Stanik aksamitny, wycięty



N. 60. Uczesanie z pukli upiętych według ryc. 59.



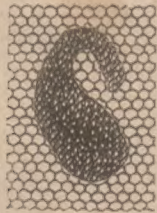
kwadratowo lub zachodzący pod szyję, ma z tyłu długą frakową baskinę i rękawy długie lub sięgające tylko do łokci. Suknia przedstawiona na rycinie 14 była koloru „jaime de monsieur” przybrana kosztowną koronką (points) różnej szerokości i szlakiem wyszytym złotawymi świecącymi perełkami. Kokardy z podwójnie wziętego repsu, blade różę we włosach i przy staniku.

(Dokończenie nastąpi).



N. 61. Chusteczka z szalowymi końcami. Krój Nr VI, Fig. 25.

N. 62. Chusteczka pełnorynowa. Krój Nr V, Fig. 24.



N. 63. Palma wyszyta jedwabiem do koronki tureckiej przy krawacie ryc. 12.

N. 64. Palma wyszyta filozelą

i węzła, ułożonych ze skosu 10 cent, szerokiego, z pod których spada trójkąt, z prostych frendzel oszytych brzegów po 23 cent, długi, u góry zebrany w fałdy.

N. 14. Suknia ze strojnie przybraną spódnicą. Patrz Fig. 60.

Spódnica z ciężkiego jedwabnego repsu, z wielkim trenem zakończona u dołu dwoma plisowanymi fałbankami, po 10 cen-



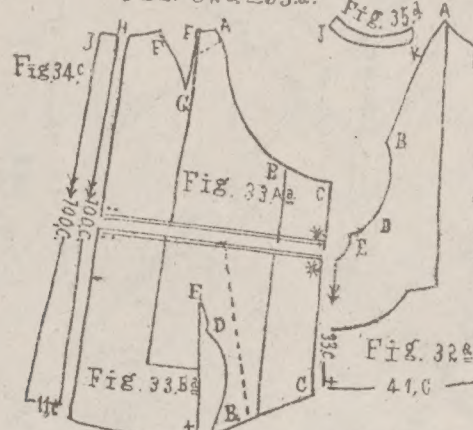
N. 65. Stanik z długą baskiną do ubrania wizytowego. Patrz ryc. 54—55.



N. 66. Ubranie wizytowe z gorsieczowym stanikiem.

N. VII. *Plaszczyk z przebraniem z indyjskiego szala, Rycina 7-10 w Nrze 10.*

- Fig. 32. Pród (A, B, D, E, K) — — — — —
 Fig. 33. Pierwsza część z odcinany rękawem: — — — — —
 Fig. 33A. Górna połowa pierwszej części płaszców (A, B, C, F, G, H, I) i założenie. (Forma w dwóch częściach odznaczonych linią przecinającą je z materiału jednak kroje się w jednym ciągu)
 Fig. 33B. Dolna połowa pierwszej części płaszców (B, C, D, E, I, J, K) i założenie
 Fig. 34. Druga część płaszców (H, I) — — — — —
 Fig. 35. Połowa paska do kolnierzyka (I, K) — — — — —
 Fig. 32a-35a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 32-35.



N. VIII. *Stanik bluzkowy dla panienki lat 10-12 do sukni rycina 2 w Nrze 9 i rycina 38-39 w Nr. 10.*

- Fig. 36. Pród i boczek (L, M, N, O, P, Q, V, X i 1 do X i 3) i założenie
 Fig. 37. Połowa płaszców (N, O, R, S, X i 4 do X i 6) — — — — —
 Fig. 38. Karczerek przedni (P, Q, T, U) — — — — —
 Fig. 39. Połowa karczerek do płaszców (R, S, T, U) — — — — —
 Fig. 40. Rękaw (V, W, X, Y, Z) — — — — —
 Fig. 41. Połowa wykładu (Z) — — — — —

N. IX. *Kaftanik bez rękawów, dla panienki lat 10-12. Rycina 38-39 w Nr. 10.*

- Fig. 42. Pród i boczek (a, b, c, d, k, l, m, n, o, p, q) — — — — —
 Fig. 43. Pierwsza część płaszców (a, d, o, f, i) — — — — —
 Fig. 44. Druga część płaszców (e, f, g, h, i, k, l, m, n, o, p, q) i założenie.
 Fig. 45. Karczerek (f, g, h, i, k, l, m, n, o, p, q) — — — — —
 Fig. 46. Połowa wykładu (g, h) — — — — —
 Fig. 47. Kłapka od kieszeni (n, o) — — — — —

N. X. *Sukienka do chrustu. Rycina 34 w Nrze 10.*

- Fig. 48. Połowa przodu z oznaczeniem deseni:
 Fig. 48A. Górna część przodu (a, b, c, d, e, f, g, h, i, j, k, l, m, n, o, p, q, r, s, t, u, v, w, x, y, z) — — — — —
 Fig. 48B. Dolna część przodu (a, b, c, d, e, f, g, h, i, j, k, l, m, n, o, p, q, r, s, t, u, v, w, x, y, z) — — — — —
 Fig. 49. Boczek (p, q, r, s, t, u, v, w, x, y, z) — — — — —
 Fig. 50. Karczerek do płaszców (p, q) — — — — —
 Fig. 48a-50a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 48-50

N. XI. *Koszulka dla małego dziecka. Rycina 27 w Nrze 10.*

- Fig. 51. Połowa przedniej i tylnej części stanu (r, s) — — — — —
 Fig. 52. Połowa klina (r, s) — — — — —

N. XII. *Koszulka z długimi rękawami. Rycina 28 w Nrze 10.*

- Fig. 53. Połowa przedniej i tylnej części stanu (t, u, v, w, x, y, z) — — — — —
 Fig. 54. Połowa rękawa (v, w, x, y, z) — — — — —

N. XIII. *Majteczki dla małego dziecka. Rycina 30 w Nrze 10.*

- Fig. 55. Połowa majteczek (z, a, b, c, d, e, f, g, h, i, j, k, l, m, n, o, p, q, r, s, t, u, v, w, x, y, z) — — — — —

N. XIV. *Napierśnik z irlandzką koronką. Rycina 23 w Nr. 10.*

- Fig. 56. Połowa napierśnika i deseni

N. XV. *Napierśnik garnirowany koronką. Rycina 24 w Nr. 10.*

- Fig. 57. Połowa napierśnika

N. XVI. *Kolierz do sukni ryc. 11 w Nrze 10.*

- Fig. 58. Podstawa i odcięcie zaldowana (a, b, c, d, e, f, g, h, i, j, k, l, m, n, o, p, q, r, s, t, u, v, w, x, y, z) — — — — —
 Fig. 59. Połowa wykładanego kolnierza (a, b, c, d, e, f, g, h, i, j, k, l, m, n, o, p, q, r, s, t, u, v, w, x, y, z) — — — — —
 Fig. 60. Płoty do rękawy 1 i w Nrze 10.
 Fig. 61. Płoty do ryc. 10 w Nrze 10.

Desenie do ryc. 12 i 20 w Nrze 10.

- Fig. 62. Koronka do ryc. 12.
 Fig. 63. Głom do serwety ryc. 20.

